NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. | Kraków, 1 kwietnia 1916. | Nr. 14.

Arcyksiążę Fryderyk wśród Legionistów.



Naczelny wódz armii, arcyksiążę Fryderyk, w towarzystwie generałów Puchalskiego, Herbersteina, Linsingena i Lischki dokonywa przeglądu I pułku ułanów legionowych.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy II-gi kwartał XIII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto prenumeraty do **5 kwietnia** nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	16	koron	17·—	marek
Półrocznie	8	„	8·50	„
Kwartalnie	4	„	4·25	„

Arcyksiążę Fryderyk wśród Legionistów.

Monotonnia działań pozycyjnych, tak rażąco sprzeczna z duchem i rozmachem ofenzywnym Legionów Polskich, ma tę jedną dobrą stronę, że pozwala od czasu do czasu na przedsięwzięcia i uroczystości niedostępne zazwyczaj wojsku podczas pochodu i walk zaczepnych.

Korzystając z względnej ciszy i jednostajnego trybu życia na froncie, przeprowadza się w tym czasie niezbędne reformy i ulepszenia, które każdy nowy dzień wojny nastręcza pod coraz to inną formą; Legiony spożytkuwują tę przerwę w ofenzywnych działaniach dla zupełnego wydoskonalenia szeregów i uzupełnienia szczerb, dokonanych przez twarde i zacięte boje ostatnich miesięcy wśród najfatalniejszych warunków.

W parze z tą twardą pracą czysto wojskową idą równorzędnie zabiegi koło zaspokojenia potrzeb kulturalnych i hygienicznych żołnierzy — powstają wędrowne biblioteki, urządza się odczyty i pogadanki, buduje pralnie i łaźnie, w których każdy kąpiący się korzysta odrazu z czystej bielizny i radykalnych usług fryzyera.

Wszystko to jednak w polu po pewnym czasie powszechnieje i chciwie wyczekuje się coraz to nowych i pełniejszych zdarzeń i emocyi.

Do takich sensacyi, wywołujących zrozumiałe zainteresowanie i wielodniowy pogwar w szeregach, należał między innemi przegląd oddziałów legionowych przez naczelnego wodza, Arcyksięcia Fryderyka.

Uroczystość ta odbyła się przed dwoma tygodniami i przysporzyła walecznym hufcom legionowym nowej zaszczytnej pochwały. Naczelny wódz po odbytej paradzie wyraził komendantowi najwyższe zadowolenie i uznanie dla Legionów za ich waleczność i dzielność w czasie całej ubiegłej kampanii, a osobliwie w walkach na obecnym terenie wojny.

— Oddziały — były słowa Arcyksięcia — które dziś widział, również znalazły moje zupełne uznanie.

Buńczuczność i wojskowa zaciętość malowały się też istotnie niezwykle wyraźnie na pooranych trudem twarzach sprawnie defilującej piechoty legionowej, a dziarska postawa i niezaprzeczona piękność tradycyjnego umundurowania ułanów zaszczytnie wyróżniała kawaleryę legionową.

Rozmiłowani fachowcy niemieccy, austryaccy i węgierscy formalnie napatrzeć się nie mogli na junackich jeźdźców i wciąż powtarzali „Wunder schön, prachtvoll“.



Zjazd komendantów pułkowych Legionu: Uczestnicy zjazdu. Od lewej ku prawej stoją: kap. Mężyński, pułkownik Januszajtis, podpułk. Minkiewicz, major Berbecki, rotm. Belina, podpułk. Norwid, rotm. Ostoja, podpułk. Rydz-Śmigły, major Brzoza, major Galica.

Zjazd komendantów pułkowych legionu.

Doniosły niewątpliwie fakt zaszedł w życiu Legionów. Do siedziby komendy Legionów zjechali się wszyscy komendanci pułków. Było to pierwsze od czasu wybuchu wojny „plenarne“ posiedzenie legio-



Arcyksiążę Fryderyk wśród Legionistów: Naczelny wódz armii arcyksiążę Fryderyk w rozmowie z pułk. Maryanem Januszajtisem. W pierwszym rzędzie stoją: Januszajtis, Sosnkowski, Norwid, Żymirski, Galica, Brzoza, Belina i Ostoja.

nowych pułkowników i miało na celu wspólne omówienie braków i potrzeb, oraz załatwienie licznych spraw personalno administracyjnych wobec nowego komendante Legionów.

Sosnkowski, Rydz, Januszajtis, Minkiewicz, Galica, Berbecki, Norwid, Belina, Ostoja i Brzoza zeszli się zgodnie, by zapoczątkować nową erę w życiu Legionów i przeprowadzić w praktyce konsolidacyę polskich sił militarnych, jako ukoronowanie konsolidacyi stronnictw politycznych w ponadpartyjnym Naczelnym Komitecie Narodowym.

„Jedność w każdym kierunku" zaczyna więc tryumfalny swój pochód po wyboistym szlaku dotychczasowego życia polskiego. Dobre w nowym kierunku początki każą wierzyć, że wzajemna wyrozumiałość i ufność oraz świadomość wielkiego celu pokonają drobne nieporozumienia i pozwolą w całej pełni na zasłużony rozrost szeregów i zwycięstwo Sprawy.



Austro-węgierska artylerya: Telefoniści pierwszej dywizyi ciężkich haubic.



Wojna w Polsce: Groby poległych w Wodzisławiu.

Austro-węgierska artylerya.

Czynnikiem decydującym w nowożytnej wojnie jest artylerya. Przewaga państw centralnych nad koalicyą ma swe źródło w świetnej artyleryi, którą poszczycić się zwłaszcza mogą Austro Węgry. Artylerya austryacka jest czynną na wszystkich frontach i odegrała wybitną rolę przy zdobywaniu wszystkich większych twierdz zarówno na wschodzie, jak i zachodzie. Niszczącym jest zwłaszcza ogień austryackich moździerzy i ciężkich haubic. Przekonali się o tem najlepiej Rosyanie, którzy pomimo olbrzymiej przewagi liczebnej i niesłychanych wprost wysiłków, nie mogli wytrzymać podczas ofenzywy majowej tego piekielnego ognia i musieli szukać ratunku w gwałtownym odwrocie.

W szeregu zdjęć z obecnych światowych zapasów zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg illustracyi z tej sławnej już dziś na wszystkich frontach artyleryi austryackiej, mianowicie zdjęcia z działalności na wschodnim froncie pierwszej dywizyi ciężkich haubic.

Z wystawy Legionów w Krakowie.

Obrazu toczącej się wojny — jakiejś jej syntezy dotychczas niema i być nie może. Dopiero, po wojnie, kiedy przestanie płynąć krew i huk armat zamilknie, przyjdzie czas na wszechstronne ujęcie tego dramatu dziejowego. Dziś można tylko zbierać materyały, które w przyszłości staną się cennemi dokumentami historycznemi. Tę doniosłą misyę pełnią chlubnie i nasi artyści. Cennym owocem ich pracy jest niewątpliwie pierwsza wystawa Legionów w krakowskim Pałacu sztuki. Wystawa ta najlepiej świadczy, że sztuka nowa idzie razem z życiem, a przedstawiciele jej w bardzo wielkiej liczbie wstąpiwszy w szeregi walczących, dostarczyli dużo obrazów i szkiców z pola. W pierwszym rzędzie wymienić tu należy prace chorążego prof. Wodzinowskiego, który po kilkumiesięcznym pobycie na froncie wykonał mnóstwo niezmiernie cennych portretów, rysowanych z wielkim smakiem kredkami kolorowemi. Portrety eksc. Durskiego i generała S. Puchalskiego, nowego wodza Legionów, odznaczają się wielkiem podobieństwem i znakomitą wprost charakterystyką. Te same zalety widzimy w portretach pułkowników: Roi, Januszajtisa, Grzesickiego, Kütnera, Minkiewicza, kapitana W. Zagórskiego, majora Galicy, kapitana Kleeberga, dr. Korolewicza i Wodzinowskiego, młodziutkiego ułana (syna artysty) i w. in. — Na-



Austro-węgierska artylerya: Pierwsza dywizya ciężkich haubic na pozycyi.



Z wystawy Legionów w Krakowie: Portrety i fragmenty z pola walki, wykonane na froncie przez chorążego prof. W. Wodzinowskiego.

der ciekawe w tej bogatej galeryi są epizody z bojów legionowych, jak naprzykład: „Przejście Legionów przez Bug", „Belina ze swoim sztabem przed wyruszeniem w pole koło Wysokiego Litewskiego", „Obserwator" i wiele innych. Z pośród olejnych obrazów daje nam Wodzinowski szereg prac, z których można mieć pojęcie, jak mieszkają nasi wśród lasów. Ciekawe są i świetne w kolorze „ziemianki" na wydmie piaszczystej, w których mieści się komenda dywizyi sanitarnej i siedziba trzeciej brygady wśród lasów. Podobne obrazy są cennym nabytkiem dla historyi obecnych czasów i miłą pamiątką, bo przenoszą nas do tych okolic, w których przebywa dziś kwiat naszej młodzieży.

Jak się dowiadujemy, prof. Wodzinowski wraca na front i dzięki wszelkim ułatwieniom ze strony komendy Legionów, będzie mógł w dalszym ciągu wzbogacać swoją tekę tak drogiemi sercu każdego Polaka rysunkami z życia i walk naszych Legionistów.





Z wystawy Legionów w Krakowie:

Były komendant Legionów, jen. Trzaska-Durski (rysunek W. Wodzinowskiego). Nowy komendant Legionów, jen. Puchalski (rysunek W. Wodzinowskiego).

JÓZEF LASOŃ.

BEZDOMNI.

(Z cyklu: WOJNA NA WOŁYNIU.)

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

2

Chciał Frank porozmawiać z żołnierzem, tenże pożegnał go jednak, oświadczając gotowość rozmowy, jednakże w tej chwili nie może, z powodu braku czasu. Pożegnali się serdecznie, przedstawiając się wzajemnie.

Wmieszał się Frank w tłum żołnierzy, pragnąc nawiązać rozmowę. Niechętnie i krzykliwie na pytania odpowiadać poczęli, dowcipkując ordynarnemi słowami.

— Cóż to? — niezrażony pytał dalej. — Gotujecie się do drogi? Pewnie na pozycye idziecie?

— Tak, tak, idziemy! — śmiejąc się odparli — ale i wy z nami pójdziecie.

— Gdzie pójdziemy?

— No z nami! Jak wojna — to wszyscy będziemy wojować!

— My tu zostaniemy!

— Nie będziecie mogli i mieli gdzie!...

— Jakto? — zaciekawiony Frank zapytał.

— To wszystko pójdzie z dymem!...

Żołnierz wskazał ręką na budynki dworskie i zamek.

Frank spojrzał na mówiącego badawczym wzrokiem, chcąc wybadać, czy to żart ze strony jego, czy też na seryo przyjąć to wypada.

— No tak! — potwierdzili drudzy — to wszystko pójdzie z dymem.

Zadrżał Frank na te słowa, zgroza niebezpieczeństwa żywo mu przed oczyma stanęła. Już nie było nadziei ocalenia niczego, pozostawał jeden ratunek szybkiego opuszczenia skazanego na zagładę dworu i co się da unieść, czy uwieźć ze sobą. Spojrzał posępnie po roześmianych żołnierzach, obojętnych na cierpienia ludzkie i nie znających uczuć przywiązania do chaty, mającej rozsypać się w gruzy. Długą chwilę przetrwał w odrętwieniu, rozważając poszczególne słowa, przed chwilą wyrzeczone. Szyderczy wyraz twarzy żołnierskich wyrwał go z tego odrętwienia i powoli doprowadzać począł do normalnego stanu myślenia.

— Panie Frank! — wyrwał go nagle z zadumy głos hrabiego.

Odwrócił się szybko i spojrzał w stronę, skąd dochodziło wołanie. Dostrzegł wyniosłą postać hrabiego, zstępującego po marmurowych stopniach krużganku, wiodącego do wnętrza zamku. Potrącając się pomiędzy tłumem żołnierzy, dotarł do powoli idącego hrabiego. Twarz hrabiego była nadzwyczaj zmienioną, nerwowo skrzywiono usta wyrażały ból jakiś wewnętrzny i zrozpaczenie. Skurcze nad oczyma i na czole zbiegły się, sprzęgły, myśl jakąś pochwycić się zdawały, wśród tysiąca nawiązujących się planów wybrać jeden dobry i na nim się całkowicie oprzeć.

Frank wyczuł z twarzy hrabiego niebezpieczeństwo, o którem przebąkiwali żołnierze.

— Panie Frank! — przemówił hrabia złamanym głosem.

— Co, panie hrabio?

— Musimy zamek opuścić!

— Kiedy?

— Dwie godziny czasu pozostawiono nam, ażeby zabrać i popakować potrzebne rzeczy.

— Dwie godziny? — posępnie spytał Frank.

— Tak, dwie godziny.

— Cóż my zrobimy za dwie godziny? Do podróży się ciężko przygotować, nie dopiero myśleć o przenoszeniu rzeczy. Czy pan hrabia nie mówił z pułkownikiem, że niemożliwością dla nas w przeciągu tak krótkiego czasu jest przygotować się do podróży. Może nam wyznaczą dłuższy przeciąg czasu?

— Daremnie! Za dwie godziny zamek ma uledz zniszczeniu i zbombardowaniu. Jeśli nie zmiotą go pociski armatnie, tłumaczył mi pułkownik, w razie dalszego przesunięcia linii, czyli odwrotu, zamek pójdzie w gruzy, słowem będzie zdemolowany, ażeby wojska nieprzyjacielskie nie mogły mieć z niego pożytku.

— Więc to wszystko pójdzie w gruzy?

— Tak, mniej więcej tejże nocy! — smutnie odpowiedział hrabia.

Pooralo się czoło jego cieniutkiemi nitkami zmarszczek, z nerwowych skurczów, z naprężenia myśli poorane. Nerwowo dłońmi pocierać twarz począł, jak gdyby co dopiero powstałe zmarszczki i linie na twarzy rozetrzeć pragnął i usunąć nawałę myśli, przygniatających i miażdżących. Wzrok jego znieruchomiał, jakby kamiennej postaci, utkwił, wpatrzony w jednym kierunku.

Frank spojrzał na hrabiego i serdecznemi słowy przemawiać począł.

— Cóż, jakie rzeczy zabiorę? Chyba tylko walizę i gotówkę, którą obecnie posiadam, no i klejnoty rodzinne? A daleko większą wartość dla mnie mają te drobne i bezwartościowe rzeczy na pozór z dziada pradziada w rodzie moim utrzymywane i pokoleniu przyszłemu chowane.

— Co się da jeno zabrać — zabierzemy na furgony, uratuje się choć część!

— Tak pan myśli?

— Sądzę, że to będzie całkiem możliwe. Natychmiast zabiorę się do rozporządzeń; przecież pozostało nam jakie z trzydzieści furgonów i tyleż par koni, znaczna więc część może być uratowana.

— Niech pan rozporządza według swojej woli — odparł hrabia — [illegible]em tak zrezygnowany i tem samem niezdolny do niczego. Rzeczy, o które mi przedewszystkiem chodzi, są objęte spisem, który panu poprzednio podałem. Będę panu bardzo wdzięczny. Ja tymczasem pójdę się przygotować. Jeszcze raz panu dziękuję. Jedyny pan pozostał ze sług, dlatego jestem panu wielce zobowiązany.

— Ależ, hrabio! To jest mój obowiązek i powinność nie tylko służby, lecz i honoru.

— Wiem, wiem, panie, i dlatego coraz większy mam dla pana szacunek i poważanie.

— Idę natychmiast przygotowania poczynić. Najgorzej jednak będzie z kobietami, tembardziej, że żona moja od paru dni zachorowała dość poważnie!

— Tak? A nic mi pan nie wspomniał!

— Eh... miałem pana hrabiego obarczać jeszcze mojemi troskami!

— Więc co pan zrobi?

— Cóż mam zrobić! Muszę przygotować furę i trudno, nie możemy tutaj pozostać. Boję się jednak, gdyż lada chwila spodziewa się rozwiązania, co w takich warunkach łatwo życiem może przypłacić...

— Jakto i pan chce jechać z poważnie chorą żoną? — oburzył się hrabia.

— Cóż mam robić, panie hrabio?

— Co? — namyślał się przez chwilę hrabia. — Zostać tutaj w zamku niepodobna, głos armat coraz wyraźniejszy się staje, zresztą los jego już zadecydowany. Ale nie było mowy o osadzie wśród bajorzysk. Tam z pewnością wojna nie dotrze. Niech pan jedzie natychmiast po wydaniu rozporządzeń dla służby z żoną i rodziną do osady, ja zaś z furgonami podążę na Moskwę. W każdym razie to jedynem jest wyjściem z tego położenia dla pana i pańskiej rodziny.

— Tak pan hrabia sądzi?

— Naturalnie! Nie sposób przecież jechać pańskiej żonie na długie tygodnie tułaczki, trudu i niewygody, w czasie poważnej chwili, gdzie najmniejsze wstrząśnienie i trudy podróżne mogą ją przyprawić o śmierć! Chyba co innego nie możesz pan postanowić!

— No tak, ale pan hrabia...

— Ja... pojadę z furgonami! Niech pan się o mnie nie martwi, rodzina pańska potrzebuje pomocy. Jest jej pan niezbędny i nie mogę żądać dla ocalenia rzeczy moich poświęcenia, może i życia pańskiej rodziny. Przecież życie ludzkie warte więcej, niż te zabytki, które na zagładę zostają skazane.

Chwiejnym krokiem oddalił się hrabia do wnętrza pałacu, zostawiając zamyślonego rządcę pośród zgrai krzyczącego żołnierstwa.

Frank po chwili szybkim krokiem oddalił się do mieszkania.

Jesienny wieczór już się zbliżał, szarzyzna nocy okrywać poczęła ziemię. Zaczerwieniło się niebo od palących się gdzieś w oddali chat, oświetliły łuny pożaru wichrem pędzone chmury, wlokące się po niebie, jak kłody drzewa po bystro płynącej rzece. Wypłoszone z borów i lasów ptactwo, przestraszone hukiem wystrzałów armatnich i łuną ognia, trzepotając skrzydłami falowało nad zamkiem. Spędzone z pobojowisk stada wron i kruków ponurem krakaniem napełniły okolicę, obsiadając zaciszne ogrody i parki zamkowe. Układały się do spoczynku, aby z rannym brzaskiem na świeży żer wyruszyć, którego wojna podostatkiem im dostarczała i z ludzi i ze zwierząt. Nadciągać poczęły tabory, w bezładnym szyku pomieszane, transporty rannych i jeńców, tamując drogę, wiodącą koło zamku. Już i kolumny wojsk pospiesznie na wschód uchodzić poczęły — odwrót na dobre się rozpoczynał, raczej do tłumnej ucieczki ludów, niż do cofającego się wojska podobny.

W zamku stojąca załoga również przygotowywała się do odwrotu. Wynoszono na gwałt kancelarye wojskowe i na czekające furgony bezładnie pakowano. Powoli opróżniał się zamek z żołnierstwa, jak również ze sprzętów i własności hrabiego. Kilkunastu parobków dworskich wynosiło cenniejsze rzeczy i obrazy i pod komendą Franka ładowali na dworskie podwody.

Hrabia z walizką w dłoni wydawał niektóre dyspozycye, jednakże po chwili zawezwany przez pułkownika kazał ruszyć pierwszym wozom, sam zaś wsiadł do karety i ruszył przodem.

Wreszcie rozkazano Frankowi zakończyć ładowanie i oddalić się ze zamku. Wysłał ostatnie wozy prawie że puste, nie pozwolono mu bowiem na ładowanie pozostałemi rzeczami ostatnich wozów.

Na rozkaz komendanta żołnierze rozbiegli się po salach zamkowych, ażeby dzieło zniszczenia doprowadzić do końca.

Frank już nie miał tutaj nic do czynienia. Należało teraz pomyśleć o rodzinie i żonie. Był to już wielki czas ku temu. Już nie odwrót nastąpił w armii rosyjskiej, ale znać było, że armia ta została rozprószoną i w szybkiej ucieczce szukała ratunku.

Postąpił wśród ciemności kilka kroków naprzód, nagle zza ogrodzenia zamku doszedł go krzyk jakiś, słowa błagania i prośby. Podsunął się bliżej i wzrok swój skierował na drogę.

Patrol rosyjską, prowadzącą wziętego do niewoli austryackiego żołnierza, zatrzymali jadący automobilem oficerowie.

— Schwytaliśmy jeńca — raportował żołnierz po rosyjsku — co z nim uczynić, gdzie prowadzić, lub komu oddać.

W kilku dwuznacznych słowach objaśnili patrol o sposobie załatwienia się z jeńcem. Tenże widocznie ze słów rosyjskich i z gestykulacyi rąk dorozumiał się, że zbliża się koniec jego życia, począł przeto błagać w języku niemieckim rosyjskich żołnierzy. Szturchnięcie kolbami karabinów przekonało go o daremności swoich błagań i próśb. Zaklinać przeto począł na żonę i dzieci, imieniem Boga błagał o darowanie życia, serca jednakże wrogów pozostały twarde jak granit.

Frank w milczeniu przypatrywał się tej scenie, przejęty zgrozą i litością. Nie sposób było dopomódz biednemu żołnierzowi, którego winą jedyną było dostanie się do niewoli w chwili, kiedy wojska rosyjskie poniosły sromotną klęskę i w nieładzie uciekały.

Patrol z jeńcem zdążała w stronę lasu. Już znikli mu zupełnie z przed oczu, w gąszcz leśny wkroczyli, dochodziły go jednak przeciągłe zawodzenia nieszczęśliwego żołnierza i rozpaczliwe słowa próśb. Krzyk wstrząsnął przeraźliwie powietrze, widocznie próbował w ostatniej chwili życia oporu. Echo niedalekich strzałów karabinowych przekonało Franka o skończonej tragedyi jeńca.

Wściekłość usiadła na dnie serca, miotana bezsilnością. Oto zabijano człowieka bezkarnie, usuwano go, aby im w drodze nie zawadzał i nie przeszkadzał, lub też nie pozostał w tyle i nie zdołał uciec.

— Cóż dopiero martwy przedmiot u nich wart — rozmyślał z goryczą Frank — cóż a nich zrównać wszystko ze ziemią, kiedy życie ludzkie bezbronnego już nieprzyjaciela nie warte nic.

Wspomniał o rodzinie, o losie podobnym swoim i rodziny, jeśli na czas nie zdoła zejść im z oczu i zadrżał przerażony. Nie było już chwili do namysłu. Pozostał do końca na stanowisku obowiązku — nic już nie mógł ani uratować, ani ochronić od zniszczenia.

Rozpychając się pośród żołnierstwa — dotarł do domu, gdzie na pół przytomna żona gotowała się do drogi, ubierając płaczące dzieci.

— — — — — — — — — — — — — — — —

III.

Nerwowo zabrał się Frank do pakowania skromnych sprzętów, jedynego dobytku za szereg lat pracy. Więc niezbędną garderobę, przybory kuchenne, obrazy i portrety, kilka dywanów i mniejszych koniecznych mebli, które dały się zabrać na lekką bryczkę, zaprzągniętą w parę pozostałych koni i czekającą przed domem. Żona, mimo nadwyrężonego zdrowia i spodziewając się niedługo nastąpić mającej chwili wydania na świat potomka, gorączkowo również pomagała mężowi przy pracy. Okryła i ubrała troskliwie dzieci, wyszukując pośród nieładu przydających się rzeczy i zapasów żywności. Znużone dzieci pouktadała na łóżeczku, które też niebawem zasnęły snem spokojnym, dziecięcym, nie pojmując całej zgrozy niebezpieczeństwa. Zapasy żywności starannie posortowano i wspólnemi siłami wniesili je Frankowie na wóz.

— No, już prawie pełna bryka — rzekł Frank

po wyniesieniu zaledwie jednej części przygotowanych rzeczy. — Cóż z resztą zrobimy?

— Możeby ukryć w stodole i w piwnicy?

— Ach, to potrzeba przecież czasu na to, musimy tak zostawić.

Kobiecie żal było zostawiać na pastwę płomieni całego ich dobytku, zachęciła więc męża do ukrycia tychże rzeczy.

W tej chwili przerażający huk wstrząsnął powietrzem, granat z hukiem upadł na zamek, strącając wystającą basztę. Grad zdruzgotanych cegieł i kamieni zwalił się na podwórze zamku.

Żona Franka krzyknęła przeraźliwie, zataczając się na nogach. Błyskawicznie pochwycił ją Frank w objęcia silnymi ramionami. Ciało kobiety poczęło trząść się jak w malarycznej febrze, przymknione oczy i bezwładność ciała wskazywały, że wpadła w stan omdlenia.

Zerwały się ze snu przerażone dzieci, przeciągłym płaczem napełniły izbę, spotęgowanym w dodatku napół martwą postacią matki, którą Frank zdołał położyć na łóżku.

— Mamo, mamo — zapłakały dzieci.

— Cicho! Cicho! — błagalnie upominał dzieci Frank. — Mamie się nic nie stało.

Zimną wodą potarł jej skronie, a gdy otworzyła oczy, przechylił szklankę do ust. Parę kropel wody dostało się do gardła, oprzytomniała.

— Jasiu! Jasiu! Na miłość Boską uciekajmy. Boję się, strasznie się boję.

— Cicho, Maryniu, cicho! Widzisz, dzieci są przerażone! Już jedziemy. Nie bój się nic! Bez woli Boskiej nic nam się nie stanie. Wybuch granatu przeraził cię, moja ty ukochana. Zbierz siły, już jedziemy.

— Już idę.

Podniosła się przy pomocy męża, który pochwycił ją w silne ramiona i, jak dziecko, na wóz wyłożony słomą i dywanami posadził. Skoczył potem po dzieci, usadawiając je obok matki.

— No, w imię Boga, ruszamy! — Przeżegnał się pobożnie, znak krzyża świętego nad rodziną swoją uczynił i prowadząc konia za uzdę, w stronę bramy wjazdowej ruszył.

Czas ku temu był wielki. Od granatu zajęła się zachodnia część zamku, oświetlając dziedziniec. — Z okien zamku wyrzucali żołnierze pozostałe rzeczy, meble, portrety, słowem wszystko, cokolwiek mogło uledz zniszczeniu, palne zaś materyały znosili na rozpalone ogniska, paląc je.

Frank dotarł z bryką do bramy, prosząc żołnierzy o zrobienie miejsca na przejazd. Droga zalana była płynącą falą ludzką, niemożliwością zatem było przedostać się, bo w tejże samej chwili przeszkoda w postaci bryczki, tamującej ucieczkę, musiałaby uledz zniszczeniu. Płacz dzieci, napróżno uspakajanych przez matkę, mieszał się z przekleństwami rozgoryczonych żołnierzy.

Podciągnął lejce koni, zamierzając przedostać się na drugą stronę drogi i tam wybojami dotrzeć do gęstwiny leśnej, następnie do drogi, prowadzącej do osady, pośród trzęsawisk położonej.

W jednej chwili fala ludzka otoczyła brykę, coraz dziksze słowa przekleństw i gróźb rozległo się wokół, a wszystkie zwrócone do nich.

— Do bagna wrzucić bryczkę — rozległy się głosy.

Frank usiłował wytłumaczyć żołnierzom rozpaczliwe swe położenie, spowodowane ciężką chorobą żony.

— Bryczka dla rannych — rozległy się głosy.

Słowa te podziałały na stojących obok żołnierzy, podskoczyło kilku z nich, znosząc żonę i dzieci do przydrożnego rowu. Ogłuszony uderzeniami brutalnych pięści Frank, ocknął się szybko i zoryentował w sytuacyi. Żołnierze zajęli bryczkę, wyrzucając tuż obok nich ostatki ich dobytku.

— Musimy, Maryniu, natychmiast stąd uciekać! Czy masz na tyle siły, aby iść?

— Spróbuję — odpowiedziała słabym głosem.

Podźwignął ją, powstała, chwiejąc się na nogach. Postąpiła z trudem parę kroków, szeptem nawołując dzieci, trzymające się skwapliwie sukien matczynych i podreptujące za rodzicami.

Potykając się po wyboistej drodze, dotarli do skraju lasu, gęsto zarosłych ostrężyn i kolczastych krzaków polnej różyczki. Ognista łuna palącego się zamku dotarła do lasu, oświetlając drogę nieszczęśliwym wygnańcom. Czerwone smugi światła poprzez gąszcze przedzierały się, wkradając do wnętrza odwiecznego boru.

Przy tem świetle miał Frank wielce ułatwioną drogę w lesie. Znał on wprawdzie tutaj każdą ścieżkę, pomimo tego zabłądzić można było bardzo łatwo i czy to beznadziejnie błądzić, czy też na torfowisko leśne natrafić i wpaść w błotną kałużę.

Na małej polance, do której dotarły łuny pożaru, oświetlając ją czerwonem światłem, leżał trup rozstrzelanego jeńca, przywarty twarzą do ziemi. Kurczowo wbiły się jego palce, krwią skrzepłą powalane, w zielony mech, chwytając go ostatnim wysiłkiem życia. Dostrzegł już zdala Frank leżące na ziemi zwłoki, a nie chcąc natknąć się na nie, ze względu na żonę, zboczył w szumiący las, pragnąc ominąć to miejsce, aby oszczędzić nowych wrażeń żonie i dzieciom. Z trudem postępowała Frankowa naprzód, tłumiąc w sobie ból i jęk, który wyrywał się jej z piersi. Frank torował wśród krzaków drogę, odchylając lewą ręką gałęzie drzew, prawą zaś objął przez plecy żonę i podtrzymywał ją w tym męczeńskim pochodzie. Dzieci postępowały za nimi, upominane często przez ojca. Dziesięcioletni Staś ujął swą sześcioletnią siostrzyczkę, Wandzię, podobnież jak ojciec i wtuliwszy się pomiędzy rodziców prowadzić ją począł. Byłaż to scena do głębi serce ludzkie przejmująca, rzekłbym, z Dantego „Piekła" wyrwana, beznadziejnie szukająca drogi ocalenia na dnie Tantalskich mąk.

A takich i podobnych scen w Polsce tysiące było i ciągnie się ta scena dantejska w nieskończoność.

Jeszcze gdzieniegdzie migotało czerwone światło od strony zamku, gdy gromadka nasza powoli poczęła wchodzić w ciemności szumiącego lasu. Donośny huk armat potęgował jeszcze trwogę, która się w ciemnościach nocy i lasu wkradła do ich serc przelękłych.

Ostrożnie, wyszukując drogi, żywa kolumna z ciał bezdomnej rodziny, zapuszczała się coraz głębiej w nieznaną stronę lasu. Omdlały już ręce Franka, a ciało żony coraz bardziej poczęło mu ciężyć i coraz słabiej i chwiejniej kobieta stawiała kroki.

— Odpocząć, może zechcesz odpocząć? — szeptem zapytał żonę.

— Nie, nie! Prędzej do chaty jakiej — odpowiedziała — Rozpoczęły się bóle we mnie. Boję się tutaj...

— Bóle, dopiero dziś dostałaś! — z trwogą zauważył Frank, przerażony stanem żony, przypuszczając, że wszystkie te przejścia i wzruszenia mogą spowodować szybciejsze narodziny.

Myśl ta, jak wampir wżarła mu się do serca, kąsać poczęła i targać wnętrze. Usunęli się od jednej zgrozy, wyrwali z rąk rozognionej wojny i śmierci, która ich jednak zdawała się gonić i ścigać na każdym kroku, coraz większe tortury zadając. Gdyby rzeczywiście kobieta jego zachorowała mu w drodze, śmierć jej była nieuniknioną, więc stanął mu przed oczyma cały obraz zgrozy, utrata najukochańszej istoty. Już i płacz dzieci nie wzruszał go, zdawało mu się, że całe serce i rozum zbiegły się tylko w kierunku ratowania ukochanej istoty.

— Czy prędko zajdziemy do jakiej chaty? — przerwała mu żona jego rozmyślania — Czy dobrze idziemy?

— Tak, tak! — kłamstwem uspakajał żonę — Niedługo już. Las się kończy, potem grobla przez moczarzyska i zajdziemy do osady. Tam już będziemy bezpieczni. Chwilę jeszcze cierpliwości. Drogę znam, gdyż często chodziłem tędy.

Przystając na chwilę, skupił myśli, aby się zoryentować w jakim kierunku znajdują się i czy są na właściwej drodze. Wprawdzie tę stronę lasu znał od lat kilku, jednakże pośród ciemności i wijących się ścieżek i dróg łatwo można było zabłądzić i drogę stracić. Dopóki przyświecały im łuny pożaru, szedł krokiem pewnym naprzód, nie mając czasu na obserwowanie drogi i kontrolowanie kierunku ucieczki. Ucieczka ta bowiem przedsięwzięta była pod wpływem grozy i widma śmierci, nic też dziwnego, że mógł odrazu pójść wręcz przeciwnemi drogami.

Rozglądnął się wokoło, na pniu zwalonym usadawiając kobietę ciężko oddychającą pod wpływem zmęczenia. Wyprostował przemęczone ręce i ramiona i począł wzrokiem odszukiwać drogę, którą należało mu się udać, aby nie zabłądzić. Zwalone pnie świadczyły, że niezbyt daleko są od głównego traktu. Drzewa były tu coraz rzadsze, wycięte już i nie tworzyły gęstego lasu.

Przechodził w pamięci każdy krzaczek i kłodę drzewa, chcąc myśl doprowadzić do dobrej oryentacyi.

— Ach! — wyrwał się z gardła okrzyk radości.

Pytający wzrok skierowała żona na Franka, jakby zdziwiona, tem dziwnem zachowaniem się wobec jej położenia.

— Marysiu! Niedługo będziemy na miejscu. Kilkadziesiąt kroków stąd będzie mała polanka, później już sama gąszcz, ciągnąca się do torfowisk, przez które wiadoma mi droga wiedzie do chaty starej Marycy, którą zeszłej jesieni przytuliłem przez jakiś czas we dworze i dopomogłem do zbudowania chaty. Pośród tej, wrogo nam usposobionej ludności, znajdziemy cichy kącik i stara Maryca z pewnością we wszystkiem nam dopomoże.

— Więc chodźmy już! — odrzekła, usiłując podnieść się z pniaka.

Nadzieja ukończenia tej strasznej męczarni dodała im sił. Z trudem powstała, tłumiąc ból i słowa wyrywającego się gwałtem jęku.

Pewniej i raźniej podtrzymywał Frank żonę, odpędzając niepokój myśli, czy jesienne deszcze nie zatopiły i nie zamuliły, wiodącej przez moczary grobli. Przeszli gąszcza ciernistych jałowców, gdzieniegdzie tylko zamigotała im puszysta sosna lub młody świerk. Gleba stawała się coraz miększą i zapadającą się pod stopami nóg. Wreszcie stanęła przed nimi pusta przestrzeń niezarośniętego drzewami szmatu ziemi. Promienie księżyca ślizgały się po lśniącej tafli mocarzysk, zatrzymywały się pośród lasów trzcin wodnych i różnorakiego sitowia.

— Bogu dzięki! — szepnął Frank. — Zatrzymamy się tutaj na chwilę i wyszukam groblę, wiodącą do chaty Marycy. Wyszukał suchą kępkę ziemi, rozłożył płaszcz na niej, spoczynek chwilowy przygotowując żonie.

Znał już dobrze tą drogę, należało tylko zbadać, czy grobla nie była zniszczona i zalana wodą. Ułamana gałąź sosny służyła za przewodnika.

Zdala, wśród lśniącej toni torfowisk, błyszczało złote migotliwe światełko, jakby iskierka, lub błędny ognik, wabiący oko ludzkie.

— To chata Marycy! — westchnął z ulgą Frank, wypatrując ścieżki, przez którąby do wązkiej grobli doszedł. Po kilku minutach szukania odnalazł wreszcie przejście, zawrócił natychmiast do rodziny, pozostawionej na krańcu mocarzysk. Przytulone do łona matki uśpiły się dzieciska, okryte grubą, wełnianą chustą. Od ziemi szła wilgoć przenikliwa i mimo dość ciepłego, jesiennego wieczoru kobieta dygotała ze zimna.

— Marysiu! — zwrócił się Frank do żony — już jesteśmy prawie u celu. Stąd pół wiorsty drogi do chaty. Czy możesz zebrać siły?

— Spróbuję!... Tylko żal mi budzić dzieciąta. Pospały się natychmiast po twojem odejściu. Ale dobrze, żeś już wrócił, trzęsę się cała.

— Zimno ci! Dreszcze masz!

— O, nie tak zimno! Bałam się strasznie. Każdy szelest wichru, liści przejmuje mnie niepojętym lękiem. Och, gdyby dłużej przyszło mi samotnej tu zostać — umarłabym ze strachu.

— Zbudzę dzieci!

— Dobrze!

Rozespane dzieciska, ciepłem łona matczynego ukołysane, krzywić się poczęły, jednakże obiecanka niedługo już kończącej się podróży naprawiła miny dzieciąt. Usiłowała powstać kobieta, siły ją jednak zawiodły. Nogi trzęsły się ustawicznie, straciły siły do dalszej drogi.

— Musimy, Jasiu, dojść!

— Poniosę cię...

— A dzieci?

— Muszą chwilę tu pozostać! Niepodobna naraz was zabrać. Scieżka jest dość wązka, dziecko łatwo mogłoby się zatoczyć i wpaść w torfowisko.

— Nie! — odparła — Dzieci nie mogę tu zostawić! Raczej ja zaczekam, ty przenieś je na rękach, potem się po mnie wrócisz.

— Dość daleka, Marysiu, droga. Zanim wrócę, mogę już przybyć zapóźno!...

— Nie... nie... dzieciska umarłyby tu samotne. Jakąbym była matką.

— Tatusiu! — odezwał się milczący dotychczas Stach. — Ja Wandzię za tatusiem poprowadzę. Ja prowadziłem Wandzię do tej chwili.

Frank namyślił się nad słowami syna, spojrzał na żonę, poczem zwrócił się do Stacha:

— Wązka droga, Stasiu! Na rękach muszę was przenieść. Widzisz, jaki to wązki skrawek. Możnaby wpaść i utonąć.

— Tatusiu, ja umiem po torfowiskach chodzić. Z Marycą często chodziłem. Niech tatuś pozwoli, pójdziemy za tatusiem.

Frank obciął gałąź sosny, podał ją Stachowi, pouczając o sposobie wyszukiwania kęp glebnych, po których bezpiecznie można było stąpać i napomniał, aby zaraz za nim tą samą drogą, prowadząc siostrę podążał. Kocem wełnianym trzęsącą się dreszczami żonę owinął, pochwycił w grube ramiona i ruszył przodem, uginając się pod drogim ciężarem.

Ostrożnie, stopa za stopą, badając glebę, stawiał kroki ku ścieżce, wijącej się wśród moczarzysk i na nią się skierował.

(Dokończenie nastąpi).





Ruiny dworu staropolskiego w Karczewie (gub Mińska). **Wojna w Polsce;** Zbombardowany park w Karczewie.

Wojna w Polsce.

Trudno ogarnąć dziś jeszcze ogrom grozy, jaką przeżyli mieszkańcy okolic, które znalazły się w ogniu walki. Na ziemiach polskich pozostały dziś nieme ślady tych strasznych chwil — poburzone domy, wsie i miasta, a wśród mieszkańców żyją wspomnienia tych tragicznych wydarzeń, na które patrzyli własnemi oczami.

Teraz dopiero, gdy po minionych przejściach zaczyna wracać na zniszczonej ziemi polskiej normalne życie, można powoli rejestrować straty i notować tysiączne epizody walk, jakich widownią była Polska. Zamieszczając w dzisiejszym numerze szereg nowych zdjęć z poburzonych budynków i miejscowości w Polsce, podajemy jednocześnie epizod z walk w Piotrkowskiem podczas pierwszego odwrotu Rosyan, na podstawie notatnika naocznego



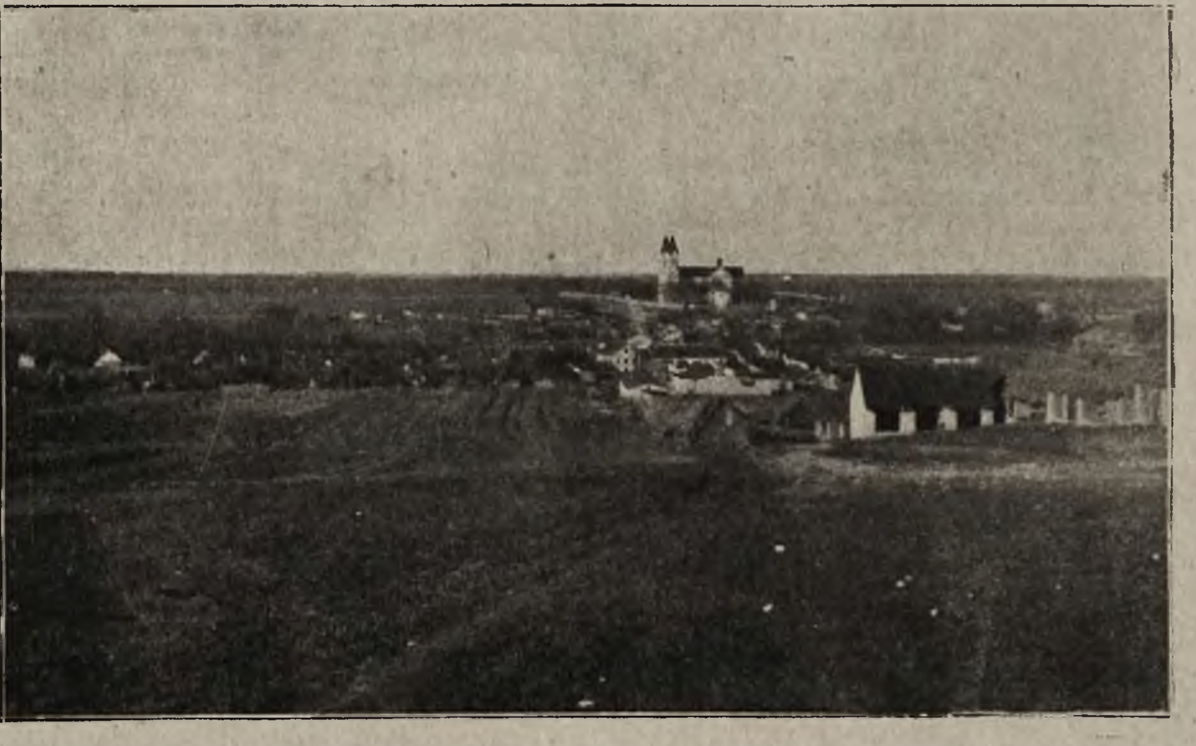
Wojna w Polsce: Grobowiec rodziny Tuhanowskich i Cywińskich, odnaleziony wśród ruin kaplicy pałacowej w Karczewie.

świadka, pani T., która pozostała na miejscu, choć dookoła padały granaty i wrzała zacięta bitwa. Z notatnika tego wyjmujemy ciekawszy ustęp, w którym czytamy:

„Dnia 19-go września o godzinie piątej po południu wyruszył pułk Ks... do Łęku przez Wików. Z pułkiem szedł lazaret pułkowy. Przed wyruszeniem w drogę ostrzegano naczelnego doktora, że w lesie Wikłowskim są wojska austryackie. Nie zważając na to, udano się w tym kierunku, dowódca owego pułku nie uważał za stosowne wysłać patroli, lecz w zwartej kolumnie, bez zachowania wszelkiej ostrożności, przy zapadającym zmroku, ruszono przez las, dosyć gęsty, pozbawiony niemal zupełnie szerszych dróg. Coraz większe ciemności ogarniały przetrzebiony, bardzo nieliczny i zmęczony pułk. Na prośby doktora pułkowego i oficerów zgodził się pułkownik wysłać żołnierzy na zwiady w ilości stu kilkudziesięciu ludzi z podoficerem na czele. Po upływie pewnego czasu wrócił rekonensans, oznajmiając, że widzieli bardzo dużo wojsk austryackich. Pułkownik, nie zważając na to, wydaje rozkaz „naprzód", nie przedsiębiorąc żadnych środków ostrożności.

Noc, ciemność straszliwa, o parę kroków nie można nic i nikogo odróżnić. Nagle tuż przed pierwszymi szeregami żołnierzy wyrastają jakieś ciemne sylwetki. Obopólne zdumienie. Żołnierze dwóch przeciwnych stron przypuszczają, że mają przed sobą swoich.

Pada rozkaz „stać", „na ramię broń", „pal". Ze strony przeciwnej padają strzały coraz gęściej i liczniej. W szeregach rosyjskich najstraszniejsze zamieszanie, popłoch. Naprózno pojedyńcze głosy



Wojna w Polsce: Ogólny widok miasta Mstowa, którego mieszkańcy w ciągu sześciotygodniowego bombardowania szukali schronienia w piwnicach kościoła.



Wojna w Polsce: Kościół z XIII w w Mstowie nad Wartą, w ciągu sześciu tygodni bombardowany.



Ze wschodniego frontu: Pogrzeb Legionisty w polu.

strzeleckich. Walkę utrudnia gęstwina leśna. Wreszcie zamęt bitwy, a właściwie straszliwej rzezi milknie. Pułk K., pozostawiwszy wśród lasu wielką ilość rannych i jeńców, wycofał się w zupełnym nieładzie na drogę do W. O godzinie drugiej w nocy wrócił lazaret pułku K. do Kruszyny bez wozów i bagażv. Wojska austryackie, nie przypuszczając widocznie, że w Kruszynie jest niewiele wojska, cofnęły się na swoje pozycye".

Lekarz rosyjski N. — czytamy dalej w pamiętniku — opowiadał mi następujące szczegóły o zniszczeniu w Lubelskiem:

Z głębokim smutkiem przypatrywałem się wsiom lubelskim, przez które przejeżdżaliśmy. Większość chałup to szkielety ścian powykręcacych, podziurawionych kulami. Niektóre wsie zupełnie zburzone. Pola stratowane, zasiewy zniszczone. Ani bydła, ani koni, ani zboża. Czego nie zniszczyła wojna, to wybrały wojska rosyjskie. Bez najmniejszej litości stratowano tę nieszczęsną ziemię. Pułk nasz zatrzymał się w jednej z takich nieszczęsnych wiosek. Pusto, cicho, martwo. Ni głosu człowieka, ni zwierzęcia. Przed rozwalonymi płotami stoi pies wychudły, straszny, nie mniej straszni ludzie wyglądają z niektórych niezupełnie zniszczonych chałup. Niema co robić, chodzę po wsi. Wchodzę do jednej z chałup. Straszny widok przedstawia się moim oczom. Na łóżku leży wychudła kobieta, istny szkielet. Koło komina skulone siedzą dzieci, jest tego z pięcioro. Na ławie pod oknem siedzi chłop jeszcze młody,

wzywają do opamiętania. Ciemności leśne, nieznajomość terenu, ilość nieprzyjaciela wzmaga przerażenie żołnierzy. Nagle na tyłach pułku rozlega się okrzyk: „bracia, ratujcie się, póki możecie". W panicznym strachu, oszalałe trwogą wojsko rzuca się w tył, w głąb lasu. Austryacy gnają za rozbitym i nieopierającym się prawie zupełnie nieprzyjacielem. Nie pomagają nawoływania. W ciemnościach słychać niemilknące salwy karabinowe, wrzask i jęk mordowanych, trzask łamanych gałęzi. Piekło, zamęt, zwierzęce wycia kłutych bagnetami żołnierzy. Ponad wszystkiem góruje suchy, monotonny trzask mitraliez. Nikt już nie może rozróżnić swego od

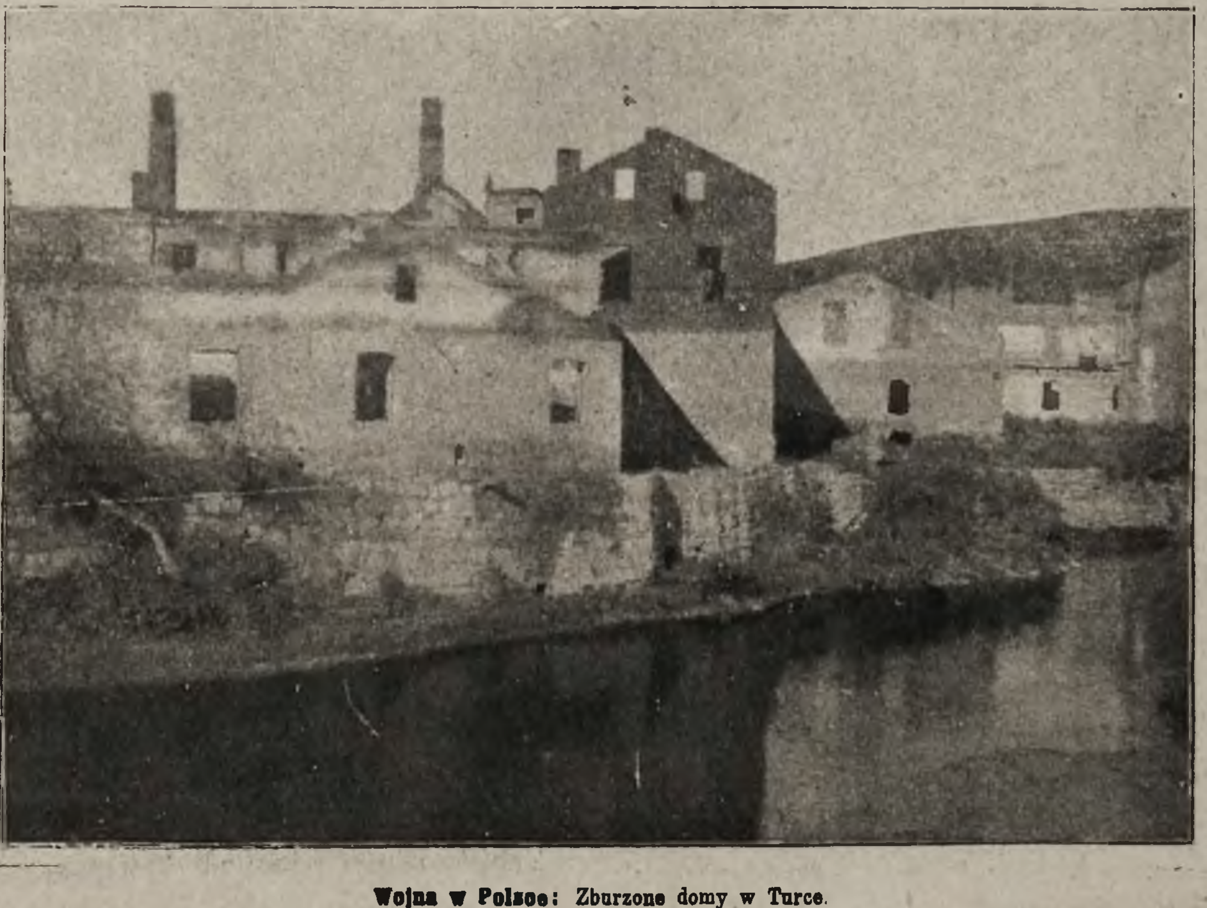


Wojna w Polsce: Ocalały pomnik z tablicą pamiątkową w parku w Karczewie.

wroga. Lazaret, zostawiając wózki i bagaż, w zupełnym nieładzie i z największym pośpiechem cofa się poza linię strzałów w powrotną drogę. Nikt nie zważa na komendę, na rozkazy, każdy żołnierz stara się tylko ujść z życiem. W zamęcie walki, w ciemnościach żołnierz rosyjski rani felczera, zabłąkana kula ciężko rani dozorcę służby lazaretowej. Ciemność jesiennej nocy, spotęgowana mrokiem świerkowego, gęsto zarośniętego lasu, przychodzi z pomocą zdziesiątkowanemu pułkowi. Wojska austryackie nie mogąc w ciemnościach rozpoznać ilości nieprzyjaciela, obawiają się zbytnio oddalać od rowów



Ze wschodniego frontu: Podziemne mieszkania piechoty austro-węgierskiej.



Wojna w Polsce: Zburzone domy w Turce.



Ze wschodniego frontu: Przyjazd oddziałów na linię bojową.

lecz okropnie wychudły. Gdy wszedłem, podniósł głowę, lecz się nie ruszył. Łamanym polskim językiem pytam go, czy nie moznaby czego kupić do zjedzenia. Chłop spogląda na mnie z ponurym zdumieniem, a później mówi, wskazując na dzieci: „Chyba to". Zaczynam z nim rozmawiać. Z początku mówi niechętnie. Wreszcie opowiada, że był zamożnym gospodarzem, a dzisiaj nic nie ma — jest nędzarzem.



Ze wschodniego frontu: Jeńcy rosyjscy wzięci do niewoli przez Legionistów. (Fot. C. B. W. N. K. N.)



Ze wschodniego frontu: Sport zimowy „trzynastaków“ na kwaterze

— I cóż zrobicie? — pytam go sam zrozpaczony tą nędzą, na którą nie mam lekarstwa, bo sami mamy bardzo niewiele zapasów, a wokół niczego dostać nie można.

— Ha, będziemy jeść, co się znajdzie, a nie będzie co, to pomrzemy — mówi z dziwnie spokojną, straszliwą rezygnacyą.

Ten spokój stokroć więcej mnie wzrusza, niż najgłośniejsze wybuchy rozpaczy.



Dzieci Melpomeny na służbie Marsa: Włodzimierz Miarczyński, artysta sceny krakowskiej.

Dzieci Melpomeny na służbie Marsa.

Bożek wojny nie zna żadnych względów, anektuje dla siebie wszystko i wszystkich. Nic dziwnego też, że powołał na swą służbę i wesołe dzieci Melpomeny. W szeregach armii znalazł się także znany artysta sceny krakowskiej, Włodzimierz Miarczyński, który z wybuchem wojny wstąpił jako ochotnik do armii austryackiej, gdzie został przydzielony do stacyi opatrunkowej w Krakowie. Sumienność i gorliwość w spełnianiu ciężkich obowiązków służby sanitarnej zjednały mu wkrótce uznanie u władz przełożonych.

Pan Miarczyński dał dowód, że nie tylko umie być szczerym artystą, ale także, kiedy obowiązek tego wymaga, dzielnym żołnierzem. Praca artysty i na tem wojennem polu znalazła uznanie, czego dowodem, iż p. Miarczyński został niedawno odznaczony srebrnym krzyżem zasługi na wstędze waleczności.

Ze wschodniego frontu.

Po dłuższym względnym spokoju na wschodnim froncie znowu zawrzały gorące walki. Rosyanie, jak się zdaje, postanowili znowu rozpocząć ofenzywę, a wstępem do tego był atak na Uścieczko, o którym oficyalny komunikat austryacki z dnia 21 bieżącego miesiąca donosi:

„Wczoraj wieczorem po sześciomiesięcznej dzielnej obronie opróżniono rozstrzelany w gruzy szaniec mostowy na północny zachód od Uścieczka. Chociaż Rosyanom już w godzinach porannych udało się wysadzić wyłom, szeroki 300 m., załoga nie zważając na wszelkie straty, atakowana przez ośmiokrotną przewagę, wytrwała jeszcze przez siedm godzin w najzaciętszym ogniu działowym i karabinowym. Dopiero o godzinie piątej po południu zdecydował się jej komendant, pułkownik Planckh, opróżnić zupełnie zniszczone oszańcowania. Mniejsze oddziały i ranni dotarli w łodziach do południowego brzegu Dniestru, jednak wnet pod koncentrycznym ogniem nieprzyjaciela musiano zaprzestać przewożenia i dzielny hufiec, złożony z cesarskich dragonów i saperów, miał tylko jedną drogę — jeżeli się nie chciał dać wziąć do niewoli — musiał się on przez silnie obsadzoną przez nieprzyjaciela miejscowość na północnym brzegu Dniestru, Uścieczko, przebić do naszych wojsk, które się usadowiły na północ od Zaleszczyk na wzgórzach. Marsz przez środek nieprzyjacielskich pozycyj powiódł się. Pod osłoną nocy poprowadził pułkownik Planckh swe bohaterskie wojsko do naszych straży przednich na północny zachód od Zaleszczyk, gdzie przybyło ono dzisiaj rano“.

Ale nie tylko koło Uścieczka Rosyanie przeszli do akcyi zaczepnej, ale także i na innych punktach olbrzymiego frontu wschodniego rozpoczęli ofenzywę. To nowe przedsięwzięcie Rosyan omawia wojskowy współpracownik „Berl. Ztg. am Mittag“, który pisze między innemi:

Rosyanie zaatakowali pozycye sprzymierzonych na wschodzie równocześnie w dwóch różnych punktach: na północy i na południu. Na północy atakują Rosyanie na froncie przeszło 80 kilometrów długim, który biegnie od Dynaburga, aż do jeziora Narocz. Rosyanie atakują tam z wielką zaciętością, wysławszy do ataku ogromne siły. Mamy tam w każdym razie de czynienia z jedną z najsilniejszych ofenzyw rosyjskich, której celem i zadaniem jest przełamanie stanowisk niemieckich i odzyskanie Kurlandyi oraz północnej części Królestwa Polskiego. Natomiast na południowem skrzydle naszego frontu wschodniego toczą się na razie walki o charakterze lokalnym.

Do tej pory nie mogliśmy stwierdzić, o co Rosyanom tam chodzi: czy o poprawienie swych pozycyi i zdobycie kilku ważniejszych dla nich, szczególnie niebezpiecznych, najbardziej wysuniętych stanowisk austro-węgierskich, czy też walki te są początkiem równie wielkiej ofenzywy i na południowem skrzydle naszego frontu wschodniego. Z wielu atoli objawów, jak na przykład wielkich sił, zgromadzonych tam przez sprzymierzonych, ze wspaniale wybudowanych, nadzwyczajnie silnych stanowisk wojsk austro-węgierskich i z dotychczasowych niepowodzeń rosyjskich można wywnioskować, iż Rosyanie nie przejdą do ofenzywy równocześnie w dwóch punktach, tak dalece od siebie oddalonych. Rosyanie jednak odznaczają się ogromną ekscentrycznością, której dowody złożyli w czasie całej dotychczasowej wojnie, tak, że i z tą możliwością liczyć się musimy.

Omawiając utratę Uścieczka oświadcza referent wojskowy: Ten sukces rosyjski był zdobyczą czysto lokalną, która niema żadnego wpływu na ogólne położenie wojenne. Wojska austro-węgierskie straciły tam bowiem tylko wysunięty bardzo przyczółek mostowy, podczas gdy właściwe pozycye, położone na południowym brzegu Dniestru, zostały nietknięte. Pozycye te są tak silne, a ponadto chronione przez wielką rzekę, że dalsze posuwanie się Rosyan natrafi na przeszkody wprost nie do przezwyciężenia. Stwierdzają to też ostatnie wiadomości, które donoszą, że Rosyanie zadowolili się tym sukcesem i nie próbują nawet ataku na pozycye, położone na południowym brzegu Dniestru.

Sprzymierzeni trzymają w swych rękach silnie wszystkie swoje pozycye zarówno na północy, jak i na południu. Rosyanie nie osiągną żadnych sukcesów strategicznych na jakimkolwiek punkcie frontu wschodniego“.

Ostatnie depesze potwierdzają rzeczywiście powyższą fachową opinię wojskowego sprawozdawcy o bezcelowości rosyjskiej ofenzywy, która nigdzie nie zdołała przełamać silnych pozycyi wojsk austro-węgierskich i niemieckich, a dla atakujacych stała się tylko nową hekatombą ofiar.



Ze wschodniego frontu: Budowa okopów w lesie.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA.

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

1

I

Szkodliwe podobieństwo.

— Lulu! Dostaniesz klapsa!

Dziecko, zajęte budowaniem tunelu z piasku, w dalszym ciągu skrupulatnie walało swoją jasną sukienkę. Bona jego, panna Marya, osoba zgryźliwa o żółtej, niezdrowej cerze, wyrwała mu z rąk łopatkę i wiaderko i uderzyła go parę razy po ręce. Krzyki dziecka zwróciły uwagę dozorcy, zajętego grzaniem starych kości na odleglejszej ławce. Odwrócił się zachmurzony.

— Będziesz ty cicho! — zawołała bona, pociągając małego za długie, złociste loki.

— Niepotrzebnie sobie pani krew psuje! — zauważyła przechodząca wysoka i potężna niańka, popychająca przed sobą mały wózek biało lakierowany.

— To wy, Burgundka, dzień dobry. Utrapienie moje to nieznośne dziecko!

— Ładny jednak, jak obrazek — rzekła niańka, siadając ciężko na ławce.

— Ej! Co też pani mówi! — obruszyła się panna Marya.

— Ja tam jestem zawsze zadowolona ze wszystkiego! — oświadczyła korpulentna niańka — Byleby czas był pogodny, a mój mały zdrowy.

Panna Marya zawistnem spojrzeniem obrzuciła sąsiadkę.

— Oh! Pani ma bardzo dobrą służbę. — wycedziła — Lulu, nie kręć się tak, bo będzie źle z tobą!

Burgundka przyjazne spojrzenie zwróciła na małego.

— Zanadto panna Marya dla niego surowa. — odezwała się z wyrzutem — Trzeba brać życie, takie, jakie jest.

— Pani to łatwo mówić. Wierzę — odpowiedziała szorstko bona. — Cóż to, Mysz nie przychodzi dzisiaj? — zapytała po chwili.

Myszą przezwały towarzyszkę, Zoe Carperade, małe, zwinne stworzenie o wiecznie wylęknionych oczach.

— Patrzcie no, Burgundka! To jakaś nowa idzie?

Chuda, koścista niańka o dumnym i odpychającym wyrazie twarzy nadchodziła w ich stronę, popychając biały, nieduży wózek.

Przechodząc koło ławki, zatrzymała się.

— Może się pomieścimy? — odezwała się Burgundka. — Proszę siadać, miejsce się znajdzie.

Niańka zawahała się chwilę, wkońcu usiadła, stawiając wózek obok ławki.

Zapanowało milczenie. Panna Marya odwróciła się pogardliwie, nie zwracając uwagi na nowoprzybyłą.

— Pani nie tutejsza? — zapytała grzecznie Burgundka. — Pierwszy raz panią tu widzę.

— Przyszłam z placu Trocadero.

— Pani może pochodzi z Pikardyi? — pytała dalej Burgundka, chcąc koniecznie nawiązać rozmowę.

— Nie.

— Z Normandyi?

— Nie.

Odpowiedzi padały suche, niechętne.

— Oh! Już wiem! — zawołała rozpromieniona Burgundka — Z Paryża!

— Z czego to pani poznaje?

— Po szyku!

— Zgadła pani, jestem z dzielnicy Montmartre.

— Zaraz to widać! Oh! Mały wasz się budzi!

— To dziewczynka.

Paryżanka wstała, wyjęła dziecko z wózka i karmić je zaczęła.

— Mój, to chłopiec! — objaśniła Burgundka — Wystrzał armatni by go nie zbudził!

Po chwili chuda niańka ułożyła z powrotem dziecko we wózku i nucić cicho zaczęła.

— Jakie to dziwne — zauważyła z dobrodusznym uśmiechem Burgundka — nasze wózki są całkiem do siebie podobne. Obydwa są białe, nowe i jednej wielkości.

— Bardzo możliwe. Pewnie są kupione w jednym sklepie.

— Czy w tem jest co dziwnego? — zauważyła wyniośle, milcząca dotąd, panna Marya.

Mówiąc to, wstała i wózek swój ustawiła obok tamtych.

— Patrzcie no panie, czy to nie śmieszne! — zawołała Burgundka — I dzieci są całkiem do siebie podobne! Te same czapeczki, kołderka, poduszki z haftami! Łatwo by można się pomylić! – dodała, śmiejąc się szeroko.

Słowa te dziwnie podziałały na pannę Marye. Podniosła oczy na Burgundkę i szczególny wyraz przebiegł po jej twarzy.

— Toby była ciekawa historya — pomyślała — gdyby tak te niańki zamieniły dzieci! Uśmiałabym się porządnie! Coby to było hałasu, krzyku i płaczu! Wartoby to widzieć.

Burgundka, widocznie znudzona rozmową, która się rwała, ziewnęła głośno.

— Zdaje mi się, że pogoda się zmienia — zauważyła. — Ale, otóż i Zoe Carperade!

Z bocznej alei wychodziła niańka, w sukni ciemnej, znoszonej, niosąc na rękach dziecko w białym płaszczyku. Twarz jej była pełna, zmarszczona, wygląd pospolity. Spojrzała na ławkę zajętą.

— Ustąpię pani miejsca — rzekła Burgundka — mam tu ze sobą składane krzesełko.

Popchnęła swój wózek, zrównała go z drugim i wskazała miejsce nowoprzybyłej.

Zoe, trochę onieśmielona sztywnem zachowaniem się Maryi, spojrzała z wdzięcznością na Burgundkę i odezwała się:

— Idąc tutaj, spotkałam waszą panią, taka ładna pani i tak ładuie ubrana.

Burgundka przytaknęła ruchem głowy.

— Jestem u porządnych państwa! — odezwała się zadowolona.

— To nie tak, jak ja! — westchnęła Zoe. — Wczoraj pobili się znowu. Moja biedna pani ciągle płacze.

Nagle, duża kropla deszczu upadła na rękę panny Maryi.

— Deszcz pada! — rzekła.

— Ale to nic! — odpowiedziała Zoe. — To przejdzie.

Ale krople stawały się coraz częstsze, niebo poszarzało i deszcz lunął rzęsisty, przemieniając się w gwałtowną ulewę. Niańki się zaniepokoiły.

— Prędko! prędko! — wołała panna Marya.

Aby im przyjść z pomocą, trzymając Lola na jednej ręce, drugą pochwyciła wózek Paryżanki i szybko podsunęła go pod rękę Burgundki.

Niańka, zaniepokojona o swój biały czepek, przybrany wstążkami, nie zauważyła zamiany, Paryżanka zaś, przepychając się gorączkowo przez Zoe, porwała drugi wózek, oszukana nadzwyczajnem podobieństwem i pewna, że to był jej własny.

Niańki rzuciły się w popłochu do ucieczki, a panna Marya, nie zdając sobie sprawy z zamiany, którą uczyniła, unosząc rozpłakanego chłopca, biegła szybko w stronę Passy.

Deszcz tymczasem przemienił się w grad drobny i gęsty. W pierwszej chwili Paryżanka nic nie spostrzegła, zajęta uchronieniem dziecka przed zmoknięciem. Wbiegła w otwartą bramę kamienicy, gdzie już schronił się jakiś ksiądz i robotnik, aby przeczekać pierwszą nawalnicę.

Była zmęczona szybkim biegiem i strzepywała suknię, ociekającą wodą, kiedy z wózka odezwał się płacz dziecięcy. Wyprostowała się zdumiona!

To nie był głos małej Madzi! Dźwięk był silniejszy i bardziej szorstki. I nagle zauważyła na jednej stronie wózka odrapania, poczynione na lśniącym lakierze, których nie znała jeszcze. Przeczucie straszne ogarnęło ją; rzuciła się na dziecko, uniosła gazę, zakrywającą twarz, wpatrzyła się badawczo: Po chwili zawołała zrozpaczonym głosem:

— Ukradli mi moją małą!

— Co pani mówi? — zawołał robotnik ze zdziwieniem.

— To dziecko nie jest moje! I wózek także! Zamienili mi dziecko! Ukradli! — wołała zrozpaczona.

Twarz jej pobladła, a w oczach przebiegł nagły lęk, zbudzony uczuciem odpowiedzialności, które ujrzała w całej grozie.

— Gdzie się to stało? — zapytał robotnik ze współczuciem, widząc, jak drży i traci przytomność umysłu.

Zaczęła opowiadać. Wkrótce przed kamienicą uczyniło się zbiegowisko. Nadszedł stróż zaciekawiony płaczem i podniesionym głosem dziewczyny, sklepiczarka wybiegła na próg swejego sklepu, z niższych piętег zbiegły się służące.

— Tu, tu niedaleko, na skwerze! To ta wielka niańka, w czepku ze wstążkami, ukradła mi moją małą! — krzyczała dziewczyna, zanosząc się od płaczu. A tamta, ubrana jak panna, dopomogła jej!

— Ale jakże nie spostrzegłaś tego, moje dziecko? — zauważył ksiądz łagodnie.

— Czy ja wiem, jak się to stało! Wózki takie były do siebie podobne, że możnaby przysiądz, że to jeden i ten sam! Stały tuż koło siebie w rzędzie i te złodziejki skorzystały, jak deszcz zaczął padać, a my wszystkie uciekałyśmy, aby porwać dziecko!

— A to niesłychana rzecz! — zauważyła jakaś gruba przekupka — W ładnym świecie żyjemy! Kradną dzieci w biały dzień!

— Skoro jednak, moje dziecko — rzekł ksiądz — jak sama twierdzisz, wózki tak były do siebie podobne, tamta mogła się łatwo pomylić. Może już spostrzegła swoją pomyłkę. Trzeba powrócić prędko na to miejsce, może ją tam znajdziesz.

Paryżanka, bez słowa, automatycznie idąc za radą, szybko pobiegła naprzód. Ale ktoś pobiegł za nią i powstrzymał.

— A dziecko? Zapominasz o dziecku!

— To nie jest moje! Nie znam go! — odpowiedziała szorstko.

— To jeszcze nie racya, żeby je tu zostawiać! — odparła surowo przekupka. — Cobyś panienka powiedziała, gdyby tak z twoją małą zrobili?

Niańka pochyliła głowę, pochwyciła żywo wózek i nie troszcząc się, że podskakuje na bruku, spiesznie skierowała go w stronę parku.

Odnalazła łatwo ławkę, na której siedziały, ale żadnej z nianiek tam nie było.

Zapytała dozorcy, lecz ten nie umiał jej nic powiedzieć. Tyle tu codziennie różnych nianiek z dziećmi chodzi.

— Ale panna zna przecież swoje towarzyszki? — mruczał — Siedzicie razem, rozmawiacie!

— Ja? — oburzyła się Paryżanka — Po raz pierwszy znalazłam się w tej dzielnicy. Nie jestem stąd, nie widziałam ich nigdy!

— W takim razie nie łatwo się je odnajdzie. Ja często je tutaj widuję. Szczególniej tą w zielonej sukni i tą grubą ze wstążkami, ale gdzie mieszkają, tego nie wiem. Zauważyłem tylko, że odchodzą zawsze w stronę dworca Passy.

— Boże mój, co ja teraz pocznę? — lamentowała Paryżanka.

— Zostawi mi panna swój adres — oznajmił urzędowo dozorca — Jak tamta tu wróci, bo to może być tylko pomyłka, to ją odeszlę do panny mieszkania.

Wyciągnął z kieszeni zatłuszczony notatnik i kawałek ołówka.

— Jak się panna nazywa?

— Teresa Jacquin.

— Jacquin. U kogo służy?

— U pana Mitre, ulica Malakof 12, drugie piętro na prawo.

— A czemże zajmuje się ten pan?

— Pracuje w biurach w ministerstwie.

— A teraz, moja mała, pójdziesz do cyrkułowego komisarza i złożysz mu swoją deklaracyę. Rozumiesz? Tamta może już dała znać na policyę i szukają cię.

Energiczny i szorstki głos starego dozorcy podziałał oprzytomniająco na Teresę. Usiadła na ławce i zalała się łzami.

— Co moi państwo powiedzą! — mówiła przerywanym głosem. — Ja nie mogę bez dziecka powrócić do domu!

— No, no, moja mała, tylko bez komedyi! Teraz musisz wypełnić to, co do ciebie należy. Idź do raportu i miej odwagę przyznać się do swojej nieuwagi. A z państwem to się samo ułoży, jak się dziecko znajdzie!

— Wolałabym rzucić się do wody! — zawołała Teresa — I tego szczeniaka także!

— Ho! ho! Zadaleko się posuwasz. Pilnuj tego, co mówisz, bo może być z tobą źle! Jesteś bez serca i wstydu. Cóż ten mały ci zawinił? Lepiej zajmij się nim i nakarm, bo krzyczy.

— Nie! — krzyknęła dziewczyna, tupiąc nogą — Czy ja wiem, czyje to i skąd pochodzi! Czuję tylko, że stanie się jakieś nieszczęście!

— Jeżeli tak, to przydam ci kogoś, co cię pilnować będzie. A ostrożnie, radzę ci, bo za najmniejszym buntem zaprowadzi cię tam, gdzieś może jeszcze nie była!

Dozorca skinął na stojącego opodal policyanta i pomówił z nim chwilę.

— Doskonale — odezwał się tenże — zaprowadzę tę pannę do komisarza, a potem odprowadzę ją do jej mieszkania. Niema obawy! Nie zginie mi w drodze!

Podszedł do dziewczyny i rozkazał krótko:

— Proszę iść ze mną i bez grymasów.

Teresa, nagle ubezwładniona, biernym ruchem popchnęła wózek przed siebie.

Niepokój pana Mitre.

Ojciec małej Madzi, pan Henryk Mitre, szef biura w ministerstwie oświaty, uczuł się niezdrowym dnia

tego. Telefonicznie uprzedził swojego sekretarza, że do biura nie przyjdzie.

Pani Mitre, ładna, młoda blondynka, nie zaniepokoiła się zbytecznie chwilową niedyspozycyą męża. Sprawiało jej to nawet pewne zadowolenie, że przepędzi dzień w domu, wygodnie siedząc w fotelu przy kominku i pić będzie ziółka, przez nią przyrządzone.

— Czy dużo masz dziś do załatwienia w mieście, Nino? — zapytał pan Mitre, widząc, jak ubrana do wyjścia w ciemny, elegancki kostyum, zapina skrupulatnie długi rząd guzików jasnej, duńskiej rękawiczki.

— Nie, Henryku — odpowiedziała poważnie. — Zamierzam spędzić całe popołudnie z Madzią i niańką w parku. Dzień jest bardzo pogodny. Odejdę tylko na chwilę, aby odwiedzić panią Joffran, która mnie oczekuje. Jest przeziębiona i nie wychodzi z domu.

Stara przyjaciółka małżeństwa Mitre mieszkała w Auteuil, dzielnicy cichej i mało uczęszczanej.

Słowa żony wywołały wyraz zadowolenia na twarzy pana Mitre. Nie lubił, kiedy Nina, zajęta tylko strojami, biegała tylko po magazynach i modniarkach.

— Poproszę cię więc o przysługę, moja kochana — rzekł pan Mitre. — Będziesz przechodziła koło poczty, nadaj więc ten list polecony.

Pani Nina skrzywiła się lekko, lecz bez żadnej uwagi wzięła list z rąk męża. Adres na nim był starannie wypisany, jak również nazwisko nadawcy i wartość przesyłki, wynosząca 50 franków.

— Dobrze — odpowiedziała niedbale.

I wsunęła kopertę do małej, ręcznej torebki z jasnej skóry.

— Dziękuję ci, Nino, i do widzenia. Nie wróć też późno, moja kochana...

— Nie lękaj się o to. Załatwię się prędko u pani Joffran.

Uniosła suknię, gotowa do odejścia.

— Jakto? Nie pocałujesz mnie na pożegnanie? — zauważył pan Mitre.

Podeszła do niego i jasnem, badawczem spojrzeniem objęła jego twarz zmęczoną, pooraną siecią drobnych zmarszczek i lekko musnęła ją wargami. W chwilę później już jej w pokoju nie było.

Pan Mitre po odejściu żony westchnął ciężko.

Wstał i podszedł do okna. Widział, jak Nina idzie zgrabnie i z wdziękiem obok wózeczka małej Madzi i przechodzi na drugą stronę ulicy.

— Właściwie ona nie jest zła — pomyślał — tylko trochę lekkomyślna i lubi się bawić. Młoda jest, oto rzecz cała.

Ale pan Mitre, pomimo tych uspokajających uwag, czuł się jakiś nieswój. Nie był to wpływ chwilowego niedomagania, któremu podległ pan Mitre. Widząc żonę, tak ładną i pożądaną, wychodzącą samą na ulicę, doznał nieokreślonego niepokoju i jakby przeczucia czegoś niedobrego. Pan Mitre znał to uczucie, w ostatnich czasach doznawał go często. Odszedł od okna i stanął przed lustrem, ale po chwili odwrócił się niezadowolony z siebie i smutny.

Starzał się, cera przechodziła w ton ziemisty, niezdrowy, oczy przygaszała mgła zmęczenia.

I po raz drugi westchnął ciężko. Jednak po jakimś czasie zaczął rozmyślać i pocieszać się...

O co właściwie mu chodziło? Na co się uskarżał? Pragnął zaślubić Ninę, spotkaną raz w salonie starej przyjaciółki jego matki i pomimo niechęci pani Mitre i surowych uwag, uczynił ją swoją żoną. Stało się to lat temu trzy i te lata zresztą przeszły dla niego dosyć szczęśliwie. Co prawda, Nina była rozrzutna i płocha i pomimo dobrych warunków materyalnych przychodziły ciężkie, niemiłe chwile. Ale miała dar ubierania się elegancko. Była kokietką, nosiła bižuteryę z upodobaniem, chociaż po największej części były one fałszywe — i tego upodobania nie mógł pojąć pan Mitre i jego surowa matka. Ale w każdym razie nie było to przestępstwem. Z czasem spoważnieje, nabierze więcej zamiłowania do domowego gospodarstwa, a pomocnem w tym względzie będzie jedyne ich dziecko, mała Madzia, która już śmiechem swoim napełniała dom cały.

Pan Mitre czuł trochę żalu do żony, że nie chciała sama karmić małej, tak, jak to czyniły wszystkie kobiety w jego rodzinie i po wielu trudach, zmianach i szukaniach znaleziono wreszcie tę Teresę.

Pan Mitre całe popołudnie przepędził przy biurku, pisząc i porządkując papiery. Często spoglądał na zegarek i mówił do siebie z uśmiechem:

— Nina niedługo powróci. Jak to ładnie z jej strony, że postanowiła kilka godzin przepędzić z Madzią i niańką. Przynajmniej jestem spokojny, że się małej nic nie stanie.

Pan Mitre zawsze obawiał się omnibusów, albo przeziębienia się dziecka, ale dziś nie myślał o tem.

— Nina jest z Madzią — myślał, a jednak smutek jakiś ogarniał go w miarę, jak godziny mijały.

Gdyby był wiedział, że Nina zaraz po przybyciu do parku zwróciła się do przekupionej za milczenie Teresy i rzekła, uśmiechając się swobodnie:

— Odchodzę, nianiu. Ale dla pana byłam cały czas z wami, pamiętaj!

Teresa potwierdzająco skinęła głową i Nina za chwilę wsiadała już do dorożki, która podążyła na plac Zgody.

— Nie myślę się nudzić na tym skwerze — mruknęła Teresa po odejściu Niny. — Jeżeli się ty bawisz, to i ja tak samo zrobię.

Popchnęła wózek i wkrótce była już w lasku Bulońskim, gdzie zabawiała się nad stawem, przyglądając się karmieniu łabędzi. W pewnej chwili usiadł obok niej na ławce młody, przystojny robotnik i rozmawiała z nim długo, nie zwracając uwagi na dziecko, śpiące w wózeczku.

Wkońcu, zmęczona już trochę, skierowała się do powrotu i przechodząc boczną aleją od parku, przystanęła na chwilę, aby porozmawiać z innemi niańkami. Tam to spotkało ją to nieszczęście, którego spodziewać się nie mogła i które napełniło ją lękiem i przerażeniem.

Tymczasem pan Mitre pracował dalej. Zajęcie odpędziło od niego niepokój i złe przeczucia.

Nagle zadźwięczał dzwonek w przedpokoju i do jego gabinetu wbiegła zmieszana kucharka:

— Proszę pana! Nieszczęście! Przyszedł ajent policyjny i jakiś obcy pan!

Pan Mitre powstał blady i drżący. Co się stać mogło? Może wypadek spotkał Ninę i Madzię. Spostrzegł twarz Teresy, zmienioną, napuchłą od płaczu, kryjącą się za wchodzącymi.

— Madzia! Madzia nie żyje! — zawołał ochrypłym głosem.

Nieznajomy pan, skromnie ubrany, przybliżył się do niego i zapytał grzecznie:

— Pan Mitre, nieprawdaż? Jestem komisarzem policyi. Niech się pan uspokoi. Mam nadzieję, że nic złego nie spotkało córeczkę pana. Odnajdziemy ją, zapewniam.

Pan Mitre patrzał na mówiącego osłupiałym wzrokiem.

— Porwano moją córkę?

Komisarz w kilku słowach opowiedział mu przebieg wypadku.

— Jak mogłaś... jak mogłaś... — wyszeptał pan Mitre, patrząc z gniewem na wystraszoną niańkę.

Teresa wybuchnęła płaczem.

— To nie moja wina — tłumaczyła się — to tamte mi to zrobiły! Niech mi pan wierzy, to nie moja wina!

— Czy ma pan nieprzyjaciół? — zapytał komisarz. — Czy zna pan kogo, komu by zależało na zabraniu panu córki?

— Nie! Co za myśl! Nie uczyniłem nigdy nic złego nikomu! Czyżby zresztą istniał człowiek, któryby się do takiej zemsty posunął?

— Ta dziewczyna — mówił komisarz dalej — podejrzywa rozmyślną zamianę. Ja zaś sądzę, że to niewinna pomyłka. Najlepszym tego dowodem, że niańka, która zabrała pana dziecko, pozostawiła na miejscu swoje, razem z wózkiem.

— Co pan mówi? — zawołał zdziwiony pan Mitre.

— Tak jest. Proszę przyprowadzić tu wózek z dzieckiem — zwrócił się komisarz do Teresy.

Przy pomocy ajenta dziewczyna wsunęła wózek do pokoju.

— Chciałem właśnie pana zapytać — rzekł komisarz — czy zechce pan na krótki czas, parę godzin może, zaopiekować się tym małym?

Pan Mitre w pierwszej chwili uczuł wstręt i żal do dziecka, które zajęło miejsce jego Madzi, ale litość przezwyciężyła to uczucie. Kto wie, gdzie obecnie znajdowała się jego córka? I czy także nie zdana była na łaskę i opiekę obcych ludzi?

— Ależ naturalnie! — odrzekł wzruszony. — Biedny mały! Zajmiemy się nim tymczasem.

— Ładny dzieciak! — zauważyła kucharka, przypatrując się małemu, którego Teresa rozwijała na rozkaz komisarza, chcącego się przekonać, czy niema jakiego znaku, po którym możnaby poznać rodziców dziecka.

— A żony mojej niema w domu! — wyrzekł rozpaczliwie pan Mitre. — Mój Boże, jakże się dowiedzieć w czyich rękach jest moja córka?

Nagle porwał się, pornszony jakiemś postanowieniem.

— Biegnę na policyę! — oznajmił.

— Została już uwiadomioną — odparł komisarz. — Niepotrzebnie pan tam pójdzie. W każdej chwili może pan oczekiwać jakiej wiadomości.

Odciągnął na bok pana Mitre i szepnął poufnie:

— Sądzę, że obecność pana w domu jest potrzebna. Ta dziewczyna wydaje się bardzo podniecona. Należy baczną zwrócić na nią uwagę i na dziecko.

— W takim razie pozostanę — odpowiedział przekonany pan Mitre.

— Wszystko uczynimy, co będzie w naszej mocy, aby zwrócić panu dziecko — dodał jeszcze komisarz, żegnając się.

Pan Mitre, poruszony różnorodnemi uczuciami, gdzie przejawiał się żal, gniew, nadzieja i rozpacz krańcowa, wziął pozostawione dziecko na ręce. Ożywione było i spokojne. Za namową kucharki Teresa napoiła go mlekiem, wzbraniając się energicznie karmić je własną piersią. Pan Mitre mimowoli uśmiechnął się do dziecka, które z ufnością wyciągnęło do niego rączki, lecz natychmiast wspomnienie małej Madzi powróciło ze zdwojoną siłą. Czy ujrzy ją jeszcze kiedykolwiek? Do jakich ludzi dostała się i co oni z nią zamierzają uczynić? Najczarniejsze przypuszczenia męczyły go, odbierając przytomność umysłu. Może ukradli ją wędrowni komedyanci, jak się to często zdarza w wielkich miastach i męczyć maleństwo będą? Albo może uniosła ją jakaś specyalna złodziejka dzieci i żądać będzie okupu za nią?

Zamyślenie pana Mitre przerwał dźwięk dzwonka. Nadzieja powróciła! Nina z pewnością powraca lub też odnoszą dziecko.

Weszła kucharka, niosąc depeszę.

Pan Mitre drżącemi rękami rozerwał papier, a serce biło mu tak mocno, że musiał odetchnąć silniej kilkakrotnie, aby się uspokoić.

Przeczytał i z rozpaczonym ruchem odrzucił depeszę od siebie.

Wiadomość pochodziła od pani Joffran. Zapraszała ich w niedzielę na śniadanie i oznajmiała Ninie, że czując się cokolwiek zdrowszą, wyjść musiała w pilnej sprawie.

Za chwilę powróciła kucharka, mówiąc niepewnym głosem, że w kuchni czeka człowiek, ktory koniecznie pragnie z nim mówić.

— Nie chce powiedzieć swojego nazwiska — kończyła.

Twarz pana Mitre rozjaśniła się cokolwiek. Ten człowiek może przynosił jaką wiadomość.

— Teresa — zwrócił się do niańki — idź z dzieckiem do jadalnego pokoju. A ty, wprowadź tego człowieka.

Do gabinetu wszedł młody, elegancki mężczyzna. Skłonił się wytwornie i badawczem spojrzeniem objął zgnębioną postać pana Mitre.

— Przychodzę z kondolencyą z poręki redakcyi „Życia politycznego". — oznajmił — Jestem reporterem tego dziennika i pragnę pomódz panu w odnalezieniu córeczki.

Pan Mitre nie wiedział co mówić! Skąd ten pan wiedział już o wypadku? I w jaki sposób mógł mu być pomocnym?

Ujrzał nazwisko swoje wymienione w dzienniku, nieszczęście swoje omawiane i komentowane publicznie, przez obcych ludzi.

Nie! nie! nie zgodzi się na to nigdy!

Młody człowiek rozsiadł się tymczasem wygodnie i przygotował notatnik i ołówek.

— Czy mógłby mi pan pokazać ostatnią fotografię dziecka? — zapytał.

— Ależ panie! — bronił się słabo pan Mitre — Nie życzę sobie wcale, aby dzienniki zajmowały się mojem nieszczęściem. Któż pana poinformował tak szybko?

— Przypadek. Znajdowałem się właśnie w biurze komisaryatu, kiedy służąca pana przyszła złożyć zeznanie. Sądziłem, że będę panu potrzebny, że pan mi da pewne wyjaśnienia, wskazówki.

— Niestety, mój panie. Wiem tyle, co i pan. Proszę mi wybaczyć, ale czuję się tak wstrząśniętym.

Młody człowiek nie uznał się za pokonanego.

— Obowiązki nasze są ciężkie — rzekł wzdychając. — Słówko tylko. Czy posądza pan kogo?

— Nie mogę posądzać, skoro nic nie wiem — odparł zniecierpliwiony już pan Mitre.

— Jeżeli się pan dowie, to tylko za pośrednictwem naszego dziennika — rzekł młody człowiek cofając się ku drzwiom — Niech pan liczy na naszą pomoc. Dziennik nasz, to najlepsza policya.

Pan Mitre odprowadził do drzwi niefortunnego gościa i w chwili kiedy drzwi zamykał, dostrzegł na schodach człowieka, mającego wygląd lepszego rzemieślnika. Nieznajomy zdjął czapkę i odezwał się grzecznie:

— Czy chce mnie pan przyjąć na chwilę, panie Mitre? Przychodzę w sprawie zguby.

Pan Mitre doznał silnego wstrząśnienia. Wprowadził nieznajomego do gabinetu i spojrzał na niego wzruszony, przejęty oczekiwaniem.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Ze sceny i estrady: P. Krajewska, śpiewaczka, występująca w krakowskim Teatrze Ludowym.



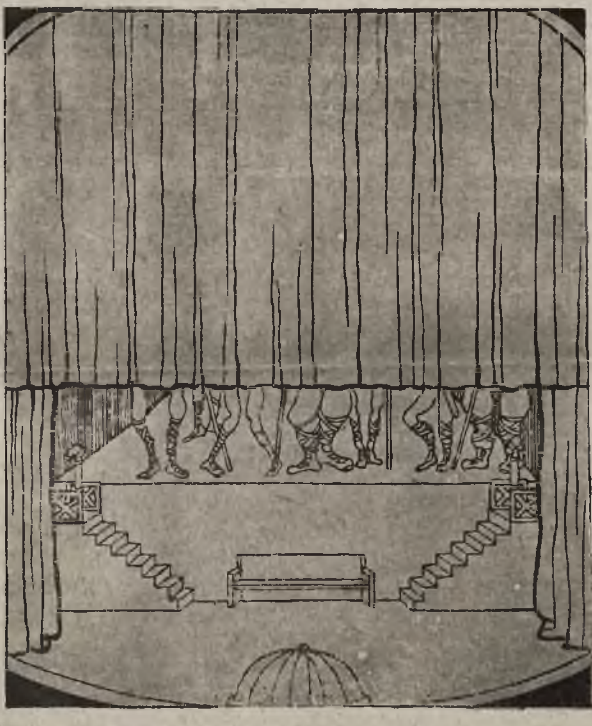
Austro-węgierska artylerya: Zaimprowizowana orkiestra korpusu oficerskiego pierwszej dywizyi ciężkich haubic.

Ze sceny i estrady.

Wojna obecna, przynosząca tyle niespodzianek we wszystkich kierunkach, obaliła też między innymi tradycyą wiekową uświęcony pewnik, że muzy milczą wśród szczęku oręża. Gdzie tylko zawierucha wojenna oddali się nieco, muzy, nie bacząc na przejście tylu swych kapłanów do twardszej służby Marsa, podnoszą głowy i dopominają się o swe prawa. — I mimo wszystko dzieje im się niezgorzej. Wyjątkowym wprost przykładem tryumfu sztuki nad grozą wojny pozostaną warszawskie teatry, które działalność swą przerwały tylko w jednym dniu wkroczenia armii niemieckiej, dając imponujący dowód żywotności. Nie dziw, że wiele zajmujących się teatrem jednostek z pośród armii okupacyjnej zaciekawił wewnętrzny wygląd przybytków sztuki, świadczących o takiej beztrosce wojennej. Szare mundury polowe zaczęły się pojawiać dość często na widowniach teatrów.

Scena, mająca w swym składzie Kamińskiego, Frenkla, Rapackiego, Śliwickiego i tylu innych wybitnych artystów, musiała wywrzeć wrażenie nawet na nieznających języka cudzoziemcach.

Gdy tak teatry warszawskie rozwijają ożywioną działalność, nieświetnie dzieje się umiastowionemu od niedawna teatrowi krakowskiemu, którego stan w okresie umiastowienia jest tak niski, jak nie był nigdy. Aktorzy, pozostawieni sami sobie, bez kierunku, nie dają ani w przybliżeniu tego, czegoby po ich uzdolnieniu spodziewać się można. Repertuar układany bez planu, obracający się do przesytu w zakresie lekkiej komedyi, przynosi od czasu do czasu tak nieoczekiwane niespodzianki, jak wystawienie „Troilusa i Kressydy", dramatu Szekspira najbardziej spornego, na który największe sceny porywają się w wyjątkowych razach, gdy jakiś pomysłowy reżyser pragnie się popisać nową próbą rozwiązania inscenizacyjnego problemu. Ponieważ ten warunek u nas z góry odpadał, trudno zrozumieć powód, kierujący wyborem właśnie tego dzieła Szekspira. Rezultat był też nad wyraz słaby, a strona dekoracyjna i kostyumowa raziła takim brakiem gustu, jaki na scenie mającej tradycye działalności Wyspiańskiego, Mehoffera, Frycza, Maszkowskiego uważać należało za niemożliwy.



Ze sceny i estrady: Przedstawienie „Troilusa i Kressydy" w teatrze im. Słowackiego w Krakowie, widziane z górnych pięter.

Na umiastowieniu znacznie lepiej wyszedł teatr Ludowy. Mając już przedtem właściwy kierunek, mógł, korzystając z kostyumów teatru im. Słowackiego, podnieść zewnętrzną stronę przedstawień i pokusić się nawet o taką próbę sił, jak „Marya Stuart" Schillera. Niedawno spróbowano także ciekawego eksperymentu wprowadzenia operetki i bez opierania się o Towarzystwo operowe. „Ptasznik z Tyrolu", dany na pierwszy ogień, powiódł się nadspodziewanie dobrze, w czem znaczną zasługę miała pełna temperamentu i humoru śpiewaczka p. Krajewska.

Sezon koncertowy krakowski przyniósł kilka produkcyi o wielkiej wartości artystycznej. W najbliższą niedzielę gościć będzie sala Sokoła artystę, dla Krakowian specyalnie interesującego. P. Seweryn Eisenberger, Krakowianin, zawdzięczający pierwszą naukę fortepianu ś. p. Florze Grzywińskiej, nigdy dotąd nie występował w swem rodzinnem mieście. Za granicą pianista ten cieszy się znacznym i zasłużonym rozgłosem. W grze jego zeszły się wszystkie przymioty szkoły Leszetyckiego z temperamentem gorącym i subtelnem poczuciem muzykalnem. Koncert niedzielny z programem wykwintnie zestawionym zainteresował też w wysokim stopniu sfery muzykalne.



Austro-węgierska artylerya: Mieszkania kanonierów pierwszej dywizyi ciężkich haubic na pozycyi.



Ze sceny i estrady: Pianista Seweryn Eisenberger.

Kronika tygodniowa.

Ostatnia kronika, którą pozwoliłbym sobie nazwać słodką, nie dlatego, iżby taką miała być rzeczywiście, ale ponieważ zajmowałem się przeważnie kartami cukrowemi, znalazła też należyty oddźwięk i w szerokich kołach Czytelników, którzy pozbawieni wszelakich słodyczy, musieli mi chyba przyznać racyę. Zwłaszcza kawalerowie są mi bezgranicznie wdzięczni, iż wziąłem ich w obronę i podobno przygotowują dla mnie adres dziękczynny oraz mają mnie zamiar zamianować członkiem honorowym Towarzystwa opieki nad starymi kawalerami, skoro czynnym, jako mąż Weronisi, być nie mogę. Natomiast obrazili się na mnie cukiernicy i kawiarze, uważając, że działam na ich niekorzyść. Poznałem to z okoliczności, iż onegdaj do szklanki herbaty podano mi tylko dwa kawałeczki cukru, tłumacząc się, że tak nakazuje najnowszy reskrypt magistratu, wprowadzający oszczędności w spożywaniu cukrowych słodyczy.

Ale ja i tak nic sobie z tego nie robię, dowiedziałem się bowiem od mego domowego lekarza, że jestem chory na cukrzycę, wobec czego cukru używać mi nie wolno, natomiast mogę słodzić sobie życie, kawę i herbatę sacharyną. Zapomiałem tylko zapytać, czy i słodycze maiżeńskiego pożycia są dla mnie owocem zakazanym. Choć, co prawda, niema się i o co pytać, gdyż człek niczego nowego się nie dowie. Niestety...

W ten sam dzień, w którym słodziłem ostatnią kronikę, otrzymałem z Berna (na Morawach) pakiecik rekomendowany, adresowany do pana kronikarza *Nowości illustrowanych*. W pierwszej chwili chciałem go zaraz otworzyć, panie przecież z administracyi naszej zwróciły moją uwagę, że może tam kryje się maszyna piekielna, torpeda lub łódź podwodna, gotowa do strzału... Przyznałem im racyę, zwłaszcza, że swojego czasu otrzymałem z Berna właśnie ofertę miłosną, a potem paczkę tytoniu za czterdzieści cztery halerze, zbyt zaś mało na to reagowałem. Wobec tego, przy zachowaniu wszelkich ostrożności, pakiet otwarto i pokazało się, że zawiera w sobie... słodką tajemnicę, to jest dwa kawałki ciasta, wewnątrz nadzianego konfiturą, czyli tak zwane „buchty". Zważywszy, że były one, dzięki znanemu u nas pospiechowi pocztowemu, już zupełnie zeschnięte (a ja zębów nie mam, na wprawienie zaś sztucznych na razie mnie nie stać), dalej, że przechodząc cenzurę zostały należycie wygniecione, czy przypadkiem nie zawierają czegoś pedejrzanego, a wreszcie z powodu, iż zrobione były z mąki czysto pszennej, a takiej obecnie używać u nas nie wolno, nie powędrowały, jak były powinny, do mojego żołądka, znalazły się natomiast wraz z pudełkiem na szafie. Ilekroć zwrócę oczy w tę stronę, przypomina mi się owa zacna niewiasta z Berna, której uczuciami wzgardziłem, a ona przecież tak dba o mnie i tak chciałaby mi dogodzić.

Ale i ja mam serce, bijące wprawdzie dość nieregularnie, ale w każdym przecież razie jeszcze jako tako, skoro to wystarcza na mą własną potrzebę, chciałbym się więc czemś odwdzięczyć, bodaj jakim wzniosłym poematem na Jej cześć. Niestety, nie wiem, czy Ona jest młoda, czy stara, ładna, czy brzydka, choć bowiem sama się chwali, że „brzydką nie jest", nie uwierzę, dopóki, jak święty Tomasz, fotografii i to z urzędownie stwierdzoną tożsamością nie zobaczę. Skomponowanie zaś panegiryku nie przyszłoby mi trudno, z dawnych bowiem lat, kiedy to byłem jeszcze bardzo młody i kochliwy, mam obfity zapas tego rodzaju utworów na cześć mężatek, rozwódek, wdów i panien, teraz więc trzebaby tylko jeden z nich odpowiednio przykroić i wszystko byłoby w porządku.

Gdybym był bodaj starym kawalerem i miał kanarka, karmiłbym go tem ciastem, a on śpiewałby mi o Tej, która mnie tak kocha... Aż mi się ciepło robi w okolicy serca, gdy pomyślę, że przecież nie jestem widocznie jeszcze takim niedołęgą, jak mi to Weronisia codziennie powtarza i to tak przekonywująco, że musiałem sam w to uwierzyć!

Dodam nawiasem, że obawiałem się, czy te buchty nie są zatrute, bo i to nie jest wykluczone. Znajomy chemik, którego o to pytałem, orzekł, że na oko nie wyglądają wcale podejrzanie, najlepszy zaś sposób taniego przekonania się o tem, zjeść je. Jeśli potem umrę w boleściach, będę wiedział, że były zatrute ręką zawiedzionej niewiasty... Ale ja boję się ryzykować swoje drogie życie. Ileż to łez kapałoby na ziemię na wypadek mego zgonu, wilgoci zaś mamy i bez tego aż za dużo, gdyż teraz prawie codzień deszcz pada, podobno z rozporządzenia magistratu, by Zakładowi czyszczenia miasta oszczędzić kłopotu kropienia ulic i placów.

Bardzo więc żałuję, iż także *via* żołądek nie zdobędzie owa berneńska niewiasta mojego serca, co jednak nie wyklucza wcale, iż jestem jej wdzięczny i że dalsze przesyłki przyjmę z ochotą. Jeden z mych znajomych, gdym mu o tem opowiedział, zauważył:

— Odpisz, że pierwszy prezent, jako bardziej wartościowy, więcej cię ucieszył. Choć sam tytoniu nie palisz, możesz mi go ofiarować, a ja w twem zastępstwie będę na Jej cześć puszczał wonne dymki!

Ja jednak jestem ostrożny, więc, ponieważ mój znajomy jest adwokatem, pytam:

— A ile mnie to będzie kosztować?

— W danym wypadku zastąpię pana zupełnie bezinteresownie... — odparł z miną dobrodzieja, a ta jego wspaniałomyślność tak mnie za serce chwyciła, iż odrazu zmieniłem zdanie, jakie miałem o adwokatach, zwłaszcza teraz, gdy moratorium już się właściwie skończyło, a oni zaczynają nam włazić na pięty.

Zupełnie inaczej odnosi się do mnie inna niewiasta, Krakowianka, oburzona, iż w kronice z dnia 12 lutego wyraziłem wątpliwość co do słodyczy pocałunków kobiety, która już czterdziestkę przekroczyła, zwłaszcza, że, jak utrzymuje, Sacher Masoch był innego zdania.

Cóż ja na to poradzę, że Sacher Masoch miał inne upodobania, niż ja? Ja tam, powiem prawdę, wolę stanowczo dostać całusa od dwu dwudziesto letnich, niż od jednej czterdziestolatki, choć przypuszczam, że ta może całuje i namiętniej, bojąc się „a może to już ostatni raz w życiu?"... Zresztą, choć nazwisko Autorki listu zmienione, poznałem z charakteru pisma, że kryje się w ten sposób jedna z naszych współpracowniczek i to do tego mężatka, a ja *primo* boję się kobiet piszących, a *secundo* nie chciałbym wejść w bliższą znajomość z łaską jej małżonka, który nie wiem, jak zapatrywałby się na kwestyę: „nieprzepartej chęci ucałowania naszego dzielnego kronikarza przez jego własną, rodzoną żonę!"... Br! Aż mi się słabo robi na samo wspomnienie. Takiego całusa nie chcę ani za pieniądze, ani za darmo!

Ale i na tem jeszcze nie koniec! Klina zabił mi w głowę trzeci list, jaki znalazł się na mem biurku. Pewien pan ze Lwowa, nasz prenumerator, narzeka, że *Nowości illustrowane*, które wysyłamy na Węgry do jego żony, dochodzą bardzo nieregularnie, prosi, by Redakcya kwestyę pocztową raczyła wziąć w swoją opiekę, bo obok chlebowej, mąkowej, cukrowej i t. d., które z łamów dzienników nie schodzą (bez skutku) i ta nie mniej nas boli obecnie, kończy zaś: „Jeżeli prośba moja wysłuchaną nie będzie ze skutkiem, to... napiszę list otwarty do... Pani Weronisi, a wtedy biada"...

Łaskawy Panie! Administracya nasza wysyła najregularniej numery wszystkim. Odbiorcom, co jednak dzieje się z nimi na poczcie, tego my już nie wiemy. W tym wypadku nawet Weronisia nic nie pomoże! Stanowczo przecenił Pan jej potęgę, bo tutaj absolutnie.. nie da rady! Ze numery giną, to prawda, świadczą o tem ciągłe reklamacye, wina jednak leży nie po naszej stronie, gdyż od nas wyszły, dokąd jednak zaszły, to już tajemnica urzędowa c. k. Zarządu pocztowego, choć i ten, przyznać mu trzeba, dokłada wszelkich starań, by kres położyć niewłaściwościom i pociąga winnych do odpowiedzialności. Gdyby Weronisia była dyrektorką galicyjskich poczt i telegrafów, list otwarty do niej mógłby odnieść skutek, na razie jeszcze równouprawnienie obu płci tak daleko nie zaszło. Wyrzuciły mężczyzn z tramwajów i różnych urzędów, na szczyt przecież drabiny hierarchicznej dotąd się im wdrapać nie udało! Choć, nawiasem mówiąc, nie miałbym nic przeciw temu, gdyby moja zacna połowica objęła tego rodzaju urząd. To osłodziłoby mi gorzką dolę lepiej, niż nawet podwójna karta cukrowa.

Dzięki tym listom na sprawy bieżące zbyt mi mało miejsca pozostało, ze względu zaś na trwający ciągle wielki post miałem zamiar nastroić lutnię kronikarską na odpowiednio smutny ton i opisać kłopoty, jakie mamy obecnie z kawą, solą, tytoniem i tłuszczami. Zarządzono też spis wełny i worków, gdy te ostatnie zabiorą, w co nasi kamienicznicy i przemysłowcy będą ładować złupione z nas korony?

Trafiki w ostatnim czasie były w formalnem oblężeniu, każdy chciał zrobić „bodaj mały zapasik na czarną godzinę", czyli, innemi słowy, powtórzyło się to samo, co było tydzień temu z cukrem. W każdej trafice kupowało się bodaj jedną paczuszkę, bo cóż to może obchodzić, choć dla drugich braknie? Gnieciono się, wymyślano sobie wzajemnie, trafikanci i trafikantki ochrypnięci i ochrypnięte, słowem... Sodoma i Gomora. Do tego przyłączył się i brak zapałek... Zdobyłeś z trudem i z narażeniem swych żeber i nagniotków paczkę tak zwanego tytoniu, przekonujesz się, że nie masz czem zapalić skręconego papierosa...

To okropne! — jak powiada jeden z mych przyjaciół.

Wobec tej opresyi, w jakiej znaleźli się trafikanci, zawiązał się między nimi komitet, który ma się postarać, zwłaszcza, że dotąd nie mamy ani jednego świętego z tego fachu, by któregoś z nich kanonizowano, jako męczennika. Na kogo wybór padnie, dotąd nie wiemy, w każdym razie kandydat musi otrzymać na to zezwolenie c. k. Dyrekcyi Skarbu i Zarządu c. k. monopolu tytoniowego.

Skoro tak się ludzie ubiegają o rozmaite rzeczy do życia codziennego potrzebne i niepotrzebne, powiedzieli sobie handlarze soli: „A cóż to, czy my mamy być gorsi?"... I dalejże rozgłaszać, że kopalnie wielickie zachorowały na cholerę, a w Bochni wykopano razem ze solą całą kolonię bakteryi tyfusowych, wobec czego soli nie będzie, kto zaś chce sobie posolić i popieprzyć, niech się spieszy, ale też niech płaci więcej, bo dostaje tylko „z łaski".

I uwierzył poczciwy narodek i na odmianę zaczął się cisnąć do sklepów ze solą, nie chcąc ani słyszeć o tem, że to tylko wymysł spekulantów. Tych się powinno wziąć w szczególniejszą opiekę, obedrzeć żywcem ze skóry, potem posolić dobrze ich własną solą, wreszcie wystawić na słońce, aby poczernieli. Gdyby tak postąpić bodaj z jednym, inni straciliby ochotę do tak niesmacznych figlów!

O ile więc w ubiegłym tygodniu każdy chciał koniecznie, aby mu było słodko, o tyle w bieżącym zmienił się gust, każdy węszy za solą i szczęśliwym się czuje, jeśli zdobył choć funt. Ciekawy jestem, na co przyjdzie kolej w przyszłym tygodniu. Zdaje mi się, że ze względu na zbliżające się święta Wielkanocne, kiedy to człek chciałby na swym stole widzieć bodaj kawałek świńskiego ciała pod jakąkolwiek postacią, „braknie" i to bardzo nagle wieprzowiny. Coś o tem wspominają już półgębkiem rzeźnicy, a sygnalizowany przez gazety brak tłuszczów jest może objawem zwiastunowym. Teraz ciężkie czasy, bez kiełbasy i szynki, które już teraz kupuje się prawie na wagę złota, jakoś się obejdziemy. Tego rodzaju przysmaki zostawimy sobie na lepsze, powojenne czasy, kiedy nie będą nas prześladować żadne ewakuacye, aprowizacye, karty chlebowe, cukrowe i t. d.

Najgorzej jednak, że brakło mi miejsca na nader ważny referat, mianowicie na omówienie aktualnej sprawy, jaki związek może mieć wojna z modami. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze, następną kronikę, o ile nie zapomnę, rozpocznę od tego tematu.

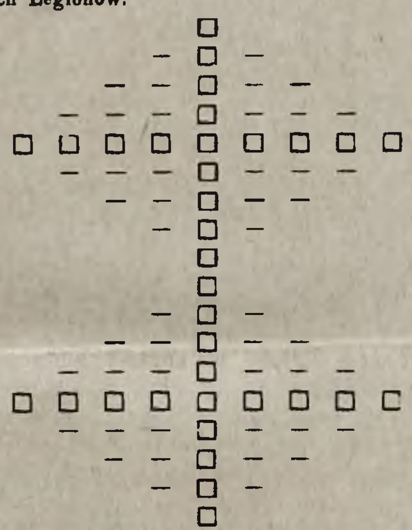
Proszę więc o łaskawą cierpliwość.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył E. Winter. Stanisławów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, utworzą, w górnym krysztale nazwisko, a w dolnym imię wodza polskich Legionów.



Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska. 2. Spójnik. 3 Inaczej narodowość 4 Część Karpat 5 Szukany wyraz 6 Miasto w Krolestwie Polskiem 7 Klasa społeczna 8 Część ciała 9. Samogłoska 10 Spółgłoska 11 Litera grecka 12 Przyrząd ogrodniczy lub murarski. 13. Dopływ Dniestru 14. Szukany wyraz. 15 Rozbójnik morski. 16. Rzeka w Rosyi. 17. Młody lasek. 18 Spółgłoska.

Grzebieniówka.

Ułożyła E. Leyówna, Kołpiec.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko i pierwszą literę imienia polskiego literata.



Znaczenie wyrazów: 1. Jenerał austryacki z czasów obecnej wojny. 2. Wyspa australska 3. Powieściopisarz polski. 4 Wspomnienie pośmiertne 5. Postać z germańskiej mitologii. 6 Miejscowość z kampanii w Karpatach. 7 Inaczej ułaskawienie.

Szarada.

Ułożył St. Ekier z Krakowa.

Pierwsza (z kreską), tą zawsze w środku się znajduje,
Druga-druga, tak często dziecko wykrzyknje,
Od *całości* niech każdy, jak może, się strzeże,
Bo zadużo już z sobą teraz ofiar bierze.

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiego filozofa.



Znaczenie wyrazów: 1 Postać biblijna 2 Pierwiastek 3 Opad atmosferyczny 4 Część twarzy. 5. Zwierzę domowe 6. Krzew ogrodowy 7 Metal. 8. Metal. 9. Zdrobniałe imię żeńskie 10 Król żydowski 11 Znak matematyczny 12 Metal. 13 Pseudonim polskiego poety. 14. Drzewo liściaste. 15 Wyraz muzyczny 16. Wehikuł. 17. Imię męskie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znaną polską maksymę

Roro na zęby jest pies. Twój E

Przysłowiówka.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z każdego przysłowia wyjąć, idąc cztery razy z góry na dół, po jednej literze i ułożyć z nich znane polskie przysłowie.

1. Kto milczy, ten przyzwala.
2. Kto wysoko lata, ten nizko spada.
3. Po pracy miłe kołacze.
4. Dzieło mistrza chwali
5. Musztarda po obiedzie.
6. Kradzione nie tuczy
7. Nie graj Wojtek, nie przegrasz portek.
8. Nie odrazu Kraków zbudowano.
9. Równy rad równemu.
10. Bez pracy nie będzie kołaczy.

Depesza.

Ułożył K. Kowalski. Wiedeń.

Litery tak poprzestawiać, aby utworzyły znane polskie przysłowie:

Czy Ezaw zdaje? Tutna zła!

Franciszek

Bilety wizytowe.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

HR. PIOTR DE Y. GECYBAY.

PROT DURANAROK.

JAN STRZEM-RZEBROGIŁ

N. D. PRUZANOSKI.

ZYS NELIC.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 12.

Trójkąt magiczny:

M ł o d z i a n o w s k i
Ł ó d ź p o d w o d n a
O b r a z o b u r c y
D e m o s t e n e s
S a n T o m a s z
I r e n e u s z
A v i g n o n
N o w e l a
O p e r a
W i c i
S e m
K u
I

Szarada: Samarytanka.

Logogryf:

R u b e n s
E r k e n e
M a d e r a
B o r s u k
R o l a n d
A r k t u r
N a r w a l
D e l f i n
T r e w i r

Zagadka rachunkowa:

11	18	26	8	17
4	23	7	27	19
22	20	16	12	10
28	5	25	9	13
15	14	6	24	21

Przysłowiówka: Co kraj, to obyczaj

Kwadrat magiczny:

E p i r
p o r y
i r y d
r y d z

Szarada: Antypody.

Kwadrat magiczny:

T r e n
r d z a
e z a w
n a w a

Zadanie do przestawienia: Każdy sądzi według siebie.

Bilety wizytowe: Młynarz. Kapelusznik. Krawiec. Cieśla. Szambelan.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń. K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A. Waga Kraków, K. Langer Berno. S. Wolańska Przemyśl, E. Winter Stanisławów, S. Danecki Przerów

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Wiewiórowski, Poznań.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Po rozprawie sądowej.

Adwokat: Muszę panu zwiastować przykrą nowinę! Sąd skazał pana na pięć lat ciężkiego więzienia! Czy ma pan może jakie rozporządzenie?

Oskarżony: Zechce pan mecenas zawiadomić moją żonę, by nie czekała na mnie z obiadem!

Teściowa.

— Prosiłbym panią o kapelusz, ale o możliwie największem rondzie...

— A jaki fason życzy sobie pan dobrodziej?

— Fason, to głupstwo... Chodzi mi tylko, aby zasłonił całą twarz, bo to dla mej teściowej!

Po powrocie z Włoch opowiada pan Antoni przyjaciołom wrażenia z podróży i poprostu nie ma słów na skreślenie piękności zabytków starożytności ze Rzymu.

— Gdybyście widzieli Colosseum, szczególniej przy świetle księżyca! To doprawdy królowa wszystkich ruin!...

— E!... Co ty wiesz! — przerywa pan Leon — chyba nie znasz mojej teściowej!...

Domyślny Kohn.

— Tak, mój kochany panie Kohn, ja obecnie przystępuję do stowarzyszenia, mającego na celu zwalczanie antysemityzmu. Będę się starał wszelkiemi siłami dopomódz narodowi żydowskiemu i chciałbym...

— Nu, niech się pan baron niepotrzebnie nie trudzi mówieniem!... Ile pan potrzebuje?...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego